Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści
ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V | Niedziela, dnia 12 grudnia 1937 r. | Nr. 50

NAJSMUTNIEJSZY Z SMUTNYCH LIST



O mój kochany! Nie dziw się, proszę,
Że tyle, tyle już przeszło dni,
A ja wciąż milczę, a ja nie piszę
I cicho kreślę to: „ja i ty".

Czas szybko idzie, czas mknie, jak woda
I kładzie szczęściu znów smutny kres,
Ale nie zmrozi już serca chłodem
I nie wyścignie już z oczu łez.

Bo tak mi dzisiaj jest obojętnie,
Czy na mej drodze zakwitnie kwiat,
Czy też pochyli się na niej smętnie,
Jak symbol bólu, cierniowy krzak.

Tak mi jest dzisiaj wszystko dalekie,
Co było pieśnią błękitnych złud,
Tak się dziś czuję tą wielką rzeką,
Co dąży cicho do kresu wód.

O mój kochany! Nie dziw się, proszę,
Lecz chciej zrozumieć dziś prawdę tą —
Kto w grze tak wielkiej dał tylko grosze,
To trudno, trudno, by złoto wziął...

Maria Zemmlerówna.

MARIA REUTT

13)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

(Dokończenie)

WIDMO Z WIĘZIENIA

W rumuńskiej Konstancy na ławce, tuż nad brzegiem morza, siedziała Danka, jasno ubrana. Biła od niej łuna szczęścia i radości. Zasłoniła twarz od słońca czerwoną parasolką i patrzyła w bok na grupę mężczyzn, stojącą opodal.

Był między nami i jej Andrzej.

Rozmawiali z zajęciem i ożywieniem, na wzór południowy wymachując czasem, kto czem miał, to laską, to kapeluszem, to rękami.

Zapatrzona nie zauważyła pary, która usiadła obok niej i rozmawiała po rosyjsku głośno, nie krępując się siedzącą obok Danką.

Urywki zdań wpadły jej do ucha i w miarę jak rosło podniecenie kobiety, rozmowa zaczęła ją interesować, choć była to zwykła historia pogróżek zdradzanej kochanki:

— A ja ci mówię, że jeżeli nie ożenisz się ze mną, nie ulegalizujesz naszego stosunku, rumuńskie ministerstwo spraw zagranicznych dowie się — co sprowadziło komisarza Pietrowa do Konstancy...

— Milcz — syknął groźnie mężczyzna — ani słowa więcej!

Syk ten ostrzem niepokoju wpadł do serca Danki. On tu, Boże! Czyż nigdy nie uwolnię się od tej zmory...

Zasłoniła się parasolką i odwróciła twarz, by jej nie poznał.

A on syczał dalej:

— Milcz, bo zaduszę cię własnymi rękami! Nie ożenię się z tobą, nikt i nic mnie nie zmusi. Obrzydłaś mi, przejadłaś mi się, a o honor twój dbam tyle, ile o zeszłoroczny śnieg! Hrabianka, frejliną była dworu, ze srebrnych talerzy jadała, na puchach spała, delikatna panienka, a kiwnął ją, chłop, a przyleciała jak ulicznica jaka, a teraz skomle o ślub. Tfu! — splunął — a na co mnie wasz burżujski ślub — dla mnie to głupia komedia, nie nabierzesz ty mnie! — Unosił się coraz bardziej. — Odczep się, suko opętana, a to śmierć zrobię! Mało to was tu marynarze tłamczą po naradach... Jednej łajdaczki mniej będzie.

Danka nie mogła już słuchać. Zasłaniała się parasolką, wstała i szła w kierunku grupy mężczyzn. Rozchodzili się już, kłaniając się sobie dworsko po kilka razy kapeluszami. Wzięła męża pod rękę i pociągnęła prze siebie.

— Andrzeju — szepnęła mu, gdy odeszli kawałek — Pietrow jest tutaj.

Nie zdziwił się.

— Wiem o tym. Pracuje w konsulacie bolszewickim.

Obraziła się:

— Nic mi o tym nie mówiłeś...

— Nie chciałem cię niepokoić, przecież teraz potrzebujesz jak największej spokoju.

— Ale on i tu jest z jakąś podejrzaną misją...

Wsunął sobie jej rękę pod ramię i rzekł:

— To już rzecz rządu rumuńskiego zająć się zbadaniem działalności tego pana.

— Mówiłeś, że został zasądzony na 6 lat ciężkiego więzienia....

— Tak, ale go wymieniono za naszych więźniów politycznych. Za niego jednego otrzymaliśmy dziesięciu, a między nimi dwóch księży. Widząc jej strapioną minę, dorzucił — Danko, pamiętaj, że jesteś moją żoną, pod moją opieką i że jako żonie urzędnika poselstwa nie może ci się stać żadna krzywda.

Jednakże wszystkie perswazje Andrzeja nie mogły uspokoić Danki po tym niespostrzeżonym spotkaniu, które nagle przypomniało jej straszliwą, niemal już zapomnianą przeszłość.

Nieraz w ciszy nocnej leżała całymi godzinami, nie mogąc usnąć, wsłuchana w najlżejszy szmer. Bała się, że Pietrow przyjdzie się pomścić na nich obojgu, że ich zamorduje. W dzień dostawała nerwowej gorączki, gdy Andrzej spóźniał się z konsulatu, drżała, była bliska płaczu. Przestała prawie wychodzić sama, zrobiła się nerwowa, przeczulona, płaczliwa.

Andrzej żartował z jej obaw, próbował się gniewać.

— Nic nam nie zrobi, ani zrobić nie może — nie ośmieli się nawet próbować. Prosiłem rumuńskie ministerstwo spraw zagranicznych, ażeby dano do zrozumienia poselstwu ZSSR., że gdyby był uczyniony jakikolwiek zamach lub napad na mnie, urzędnicy misji rosyjskiej będą uwięzieni jako podejrzani, a biura zamknięte. Ostrzegłem ich również przed Pietrowem.

OCZY W LUSTRZE

Danka uspokoiła się, ale nie na długo, tylko do chwili, gdy tamtego znów spotkała niespodziewanie na swej drodze.

Siedziała wtedy w towarzystwie na werandzie cukierni. Kilka pań i panów z poselstwa, dobranych towarzysko, zżytych.

Przyglądali się gościom, panowie pili limoniadę, panie jadły lody małymi porcjami. Z nieba słońce lało na miasto żar południa, z ulicy leniwie płynął gwar mowy rumuńskiej, trochę charczący, choć śpiewny, — połączony z tętentem kopyt końskich po rozgrzanym asfalcie. W kawiarni, zacienionej roletami i pnącymi roślinami, chłodzonej kilkunastoma elektrycznymi wachlarzami, świeżo było i przyjemnie.

W tym miłym towarzystwie i otoczeniu Danka zapomniała o swej trosce i niepokoju. Śmiała się wesoło, żartowała, roztaczała czar swej urody. Nagle śmiech zamarł w jej gardle, a oczy rozbawione przygasły, rozszerzyły się przerażeniem. Ujrzała w lustrze oczy Pietrowa — oczy złe, zazdrosne, grożące.

Odwróciła twarz w lewą stronę i zobaczyła byłego „hrabiego“ przy sąsiednim stoliku.

Nie był sam. Siedziała z nim szczupła, młoda osoba o smagłej, rasowej twarzy i dużych smutnych oczach.

„To pewnie ta hrabianka — domyśliła się i przeogromne współczucie ogarnęło ją dla tej wykolejonej istoty. — Dla kogo, dla takiego draba stoczyła się w błoto“ — pomyślała.

Spojrzała znów w lustro i znowu ujrzała oczy Pietrowa — groźne, bezlitosne.

Andrzej, idąc za wzrokiem żony, spojrzał również w lustro. I on zauważył oczy Pietrowa, ale nie przeląkł się. Z łagodną pieszczotą nakrył dłonią rękę żony i uścisnął lekko.

— Nie bój się — mówiło jej to dotknięcie — jestem przy tobie.

Posłała mu uśmiech podzięki, lecz wesołe ogniki nie wróciły już do oczów, gamy śmiechu nie wybiegały z jej ust. Niepokój wrócił i rozsiadł się mocno w jej sercu.

Czyż nigdy nie przestanie jej ścigać to widmo straszliwej przeszłości? Znowu ten człowiek zjawia się na jej drodze — tu, gdzie obecności jego najmniej się spodziewała... Jest rzecza zrozumiała, że Andrzej mnie uspokajał — myślała — ale jemu przecież nawet przez głowę nie przejdzie, co może zrobić taka bestia w ludzkim ciele. Zdołał się uwolnić z więzienia, znalazł się tu na słonecznej rumuńskiej ziemi — niby to pracuje w sowieckim konsulacie...

Ale co knuje naprawdę? Każdy z nich przecież oprócz tego co jawnie robi, knuje jeszcze tajnie coś złowrogiego. I ta kobieta, która jest z nim, nowa jego ofiara, brutalnie traktowana — jak kiedyś ona sama przez to zwierzę o instynktach okrutnika...

Danka nie mogła opędzić się myśli, że Pietrow wiedział wcześniej o ich tu pobycie, że dla niej teraz tu się znalazł: pamiętała przecież jego namiętność — dziką i złą lecz głęboką.

Nie mogła się opędzić jakiemuś dziwnemu przeczuciu, które jej mówiło, że tu nad brzegiem Czarnego Morza, jakieś tragiczne rozegrają się wypadki. Ktoś musi tutaj skończyć z osób tego dramatu, tego trójkąta, do którego dołączyła się jeszcze obecnie owa smagła, czarnowłosa Rosjanka. A bała się dalej mówić o swych obawach i przeczuciach Andrzejowi — bała się bowiem nie tylko o swoje szczęście, więcej jeszcze o niego...

— — — — — — —

Andrzejostwo mieszkali nad samym morzem, w willi skąpanej w pozłocie słońca, w błękicie nieba i girlandach pnących się kwiatów. Prawie codziennie wczesnym rankiem chodzili kąpać się sami we dwoje tylko.

Potem Danka, w oczekiwaniu Andrzeja, ubrana w lekkie, przejrzyste suknie, siadywała na ławeczce i przyglądała się rzeszom kąpiącym się i dzieciom, biegającym po brzegu.

Andrzeja przydzielono do konsulatu na kilka miesięcy, dla przeprowadzenia jakichś dochodzeń i Danka przyjechała tu z nim z Bukaresztu.

CIEŃ NA SŁOŃCU

Rok przeszło jak się pobrali, a czas ten był dla niej jednym pasmem szczęścia. Lecz bała się ciągle, żeby nie padł jaki grom, nie zniszczył ich szczęścia.

— Boże, to byłoby zbyt okrutne — wyrywało się jej z piersi na każdą taką myśl. Zetknięcie się z Pietrowem wydało jej się taką zapowiedzią gromu i dlatego tak bała się i drżała ciągle od tego dnia.

— Danko, nie możesz tak stale siędzieć po całych dniach w domu — tłumaczył jej mąż. — Przyrzeknij mi, że dziś wyjdziesz nad morze — posił.

Wyszła i usiadła na ulubionej ławeczce. Morze miało odcień zielonkawo-błękitny, mieniący się jak seledyn — tłum różnobarwny, ruchliwy migotał niby motyle na brzegu.

Zapatrzyła się i nie zauważyła, że ktoś stanął za nią. Dopiero po chwili zaniepokoił ją cień, ciemną plamą wydłużający się na piasku.

Odwróciła się i krew zbiegła jej do serca.

Za nią stał Pietrow — ponury, złośliwy, z szyderskim wyrazem twarzy, jak zawsze.

Nie okazać mu za żadną cenę, że go się przestraszyłam, że boję się — myślała sobie, mocując się z nagłą słabością, co ją ogarniała.

Wolno odwróciła głowę i niby nie widząc go, śledziła dalej igraszki kąpielowiczów.

— No i ot, spotykamy się znowu — zachichotał głos Pietrowa nad jej uchem. — Widać już nasze takie przeznaczenie, by się spotykać...

— Nawet Konstanca jest dosyć duża, by unikać się wzajemnie, gdy to nie sprawia przyjemności — odparła niepatrząc na niego.

— Mnie zawsze miło panią ujrzeć.

— Mnie nie — odrzuciła zimno z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć — i cieszę się, że nie będziemy mieli potemu sposobności, gdyż niedługo wyjeżdżamy.

— Danko, chociaż zdradziłaś mnie, wydałaś, jednak ja ciebie z serca wyrzucić nie mogę.

Wstała. W oczach jej czaił się wstręt, na ustach wypełzł wyraz pogardy.

— Nie wydałam pana. Gdy go poznałam na balu w Ciemierzewie, żandarmi mieli nakaz aresztować go i czekali w okolicy rozkazu, pilnowali, śledzili pana. Powołano mnie na świadka na życzenie mego męża, już po osadzeniu pana w więzieniu. Nie mówię tego, by się bronić, bo nie uważam za potrzebne usprawiedliwiać się przed panem. Nie zależy mi na tym, chcę zapomnieć, że miałam nieszczęście znać pana kiedykolwiek. Stwierdzam tylko fakt, nic więcej.

Po tych słowach Danka ruszyła niezwłocznie w stronę domu, nie oglądając się, więc nie widziała, że tymczasem od grupy kąpiących się oderwała się zmagła brunetka i skierowała się do samotnie stojącego Pietrowa.

— Pietia, nie drażnij mnie, nie doprowadzaj do szaleństwa... Co ona za jedna, skąd ty ją znasz?... Mów — czepiała się jego rąk.

Pietrow odepchnął kobietę brutalnie, aż się zatoczyła.

— Precz! Mówiłem ci, odczep się, bo pożałujesz!

Kobieta wyprostowała się. Złe błyski zamigotały w jej oczach, nozdrza rozdymały się nad zaciśniętymi ustami.

— Niewiadomo, kto pierwszy pożałuje!

Pietrow tylko roześmiał się lekceważąco na tę groźbę — rechoczącym swoim śmiechem. Nie jego straszyć kobiecemi groźbami — znał je przecie tyle. Wszystkie groziły, a potem ulegały... Tylko ot ta tam Danka była inna — musi ją jeszcze odzyskać!... Ale z tą tutaj nie ma co robić ceregieli...

— No, odczep się, mówię raz jeszcze.

KRWAWY EPILOG

Nazajutrz roznosiciele gazet wieczornych wykrzykiwali na całe gardło:

„Zbrodnia przy ulicy Portowej! bity urzędnik sowieckiego konsulatu!!"

Andrzej, spacerujący z Danką, kupił gazetę i przebiegłszy oczyma pierwszą stronicę, podał ją żonie.

„W kawalerskim mieszkaniu przy ulicy Portowej znaleziono dziś zimne zwłoki urzędnika konsulatu sowieckiego, Piotra Pietrowa, z przestrzeloną głową. Morderstwo rabunkowe zdaje się być wykluczone, ponieważ nic nie zginęło.

„Zachodzi tu podejrzenie jakiejś zemsty. Inne motywy zbrodni nie nasuwają się śledztwu.

„Zabójca nie zostawił żadnych śladów po sobie. Rewolwer, znaleziony przy zwłokach, był własnością zabitego Pietrowa.

„Są poszlaki, że zabójstwa dokonała przyjaciółka Pietrowa, którą przywiózł ze sobą z Rosji i że ta, po dokonaniu zbrodni, natychmiast zbiegła, bo nie nocowała w swoim mieszkaniu i nie zabrała rzeczy, wychodząc z domu".

* * *

Smagłej brunetki nie odnaleziono — a może i nie szukano jej zbytnio.

Życie człowieka w Rosji jest tak tanie, a życia obywatela sowieckiego nie cenią zbyt drogo i w Rumunii, gdzie bliskie sąsiedztwo i ciągłe echa z Rosji przyzwyczaiły niejako władze i obywatela do krwawych porachunków, jakie załatwiają między sobą bolszewiccy sąsiedzi tuż nad granicą rumuńską, czasem przenosząc je i na obce terytorium.

KONIEC



W tych dniach młody król egipski Faruk poraz pierwszy dokonał otwarcia parlamentu. Na ulicach wojsko utworzyło szpaler. Ludność serdecznie witała młodego króla. Zdjęcie pokazuje króla w oficjalnej karocy w drodze do parlamentu.

WOJCIECH HOLM

60)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Leon wyszedł też z lasu zamyślony. Gdy wrócił do wsi, zastał tam wielu obcych Indian, przybyłych tu na uroczystości. Między nimi był jeden młody wódz, który mu wpadł w oko swoją dziką, okrutną powierzchownością.

Winebagowie nazywali go rudym lisem. Miał on też na głowie lisie ogony w miejsce piór, płaszcz z futra lisiego zwisał mu na plecach, a całe ciało było tatuowane kształtem lisa. Rysy twarzy miały coś dzikiego i zwierzęcego, a przecięta dolna warga, która zwisała dość głęboko, podwyższała jeszcze okropny ten wygląd. Na pasku miał prócz wielkiej ilości nawieszonej broni, jeszcze kilka skalpów, ściągniętych z głów pokonanych nieprzyjaciół.

Straszny ten Indianin wszedł do wigwamu Masconiego i siadłszy przy ognisku zawiązał z Dużym Szczupakiem ożywioną rozmowę w narzeczu ojczystym. Gdy mu Kudia przyniosła posiłek, złapał ją dziko za ramię i tak gorąco na nią popatrzył, że biedna dziewczyna odskoczyła przerażona. On jednak wodził za nią bezustannie swoimi dzikimi oczyma w których tyle było namiętności, że trudno było odgadnąć, czy to miłość, czy nienawiść. Na Leona zaś zupełnie nie zwracał uwagi. Ignorował go.

Na zaproszenie Masconiego, aby spał w wigwamie, odpowiedział pogardliwie:

— Wigwam jest tylko dla kobiet, dzieci i starców!

Mówiąc to, wyszedł przed chatę i położył się na dworze u jej wejścia, ale Leon spostrzegł, że kilka razy wstawał i zaglądał do wnętrza wigwamu.

Nazajutrz rozpoczęły się uroczystości, poprzedzające polowanie.

Na dużym placu nagromadzono zapasy żywności i napoje. Pieczono na rożnie całe bawoły i jelenie; było masę pimmikom i innych łakoci, a szczególnie dużo wódki.

Uroczystość została rozpoczęta przez czarowników indyjskich. Wygląd ich był okropny. Nosili płaszcze zeszyte z różnych skór i obwieszone zdechłymi żabami, dziobami różnych ptaków i muszlami, co pewno miało być symboliczne. Twarze ich były strasznie wymalowane, a na głowach mieli najdziwaczniejsze ozdoby.

Było ich około dziesięciu czarowników razem. Z dzwonkami w rękach skoczyli w środek koła, wyprawiając dziwaczne skoki i okropnie przy tym wrzeszcząc. Indianie naśladowali ich ruchy i głosy. Były to ceremonie, które miały zakląć Wielkiego Ducha i uprosić go o szczęście i powodzenie przy tegorocznym polowaniu.

Po tym obrzędzie religijnym zaczęła się zabawa.

Jedzono z okropnym apetytem, a wódka lała się strumieniami. Efekt był ten, że spokojni w zwykłym życiu Indianie zaczęli szaleć jak opętani.

Młodzi zaczęli popisywać się dzikimi tańcami, a młode dziewczęta i kobiety śpiewały im do tańca, przerywając monotonne



Biegim na ciarskim przez bramki t. zw. slalomem otwarto niedawno sezon sportów zimowych na Zugspitz-Platt. Zdjęcie przedstawia karkołomne salto, które z radości wykonał przed rozpoczęciem biegu świetny narciarz-zjazdowiec Lantschner. W głębi widać masyw górski Zugspitz.

swe pieśni od czasu do czasu dzikimi okrzykami.

Bill brał we wszystkich tych wesołościach żywy udział. Leon zaś oparł się o drzewo i był tylko niemym i nieruchomym widzem. Widok Billa Freddera szalejącego jakby o zakład ze swoimi czerwonymi braćmi zaniepokoił go i zasmucił.

Najdzikszym ze wszystkich był rozumie się Rudy Lis. Przerażał on wprost swoim widokiem. Popijał ciągle wódkę, co dzikość i szał jeszcze potęgowali. Od czasu do czasu spoglądał na Kudię, która siedziała spokojnie w licznym gronie kobiet, a wtedy skoki jego były jeszcze dziksze i okrzyki jeszcze głośniejsze.

W ten sposób minęło południe, a ogólna wesołość doszła do punktu kulminacyjnego.

Kudia opuściła swe towarzystwo i oglądała się trwożnie za Leonem. Gdy go zobaczyła zawsze jeszcze opartego o drzewo, rzekła znów błagalnym głosem:

— Mój biały bracie, zaklinam cię, uciekaj czemprędzej! Popatrz, jak oni się zapijają wódką! Po niej zaś zawsze łakną krwi, jak antylopa wody. Pomyśl tylko, że oni ci jak nic nóż w piersi wepchnąć mogą!

Zalała się gorzkimi łzami na samą myśl i dodała:

— Nazywają oni mnie teraz śmiejącą wodą, ale wkrótce byłabym płaczącą! Uciekaj mój bracie! Zrób to dla Kudii!

Ujęła błagalnie jego ręce i przycisnęła je silnie do swego serca, a przytem tak czule popatrzyła, że Leon nie mógł jej się oprzeć. Szepnął więc pięknej indiance serdeczne słowo podzięki i znikł w krzakach.

Uspokojona wróci a Kudia do swego grona, ale bystry „rudy lis" podsłuchał całą tę rozmowę i w oczach jego palił się dziki ogień.

Młodzi wojownicy popisywali się teraz solowymi tańcami. Właśnie ukończył był Ukas, „skaczący jeleń", swój taniec i wrócił skromnie i z godnością w szeregi swoich współtowarzyszy, a w tej samej chwili wskoczył „rudy lis" na miejsce popisu i wykonał najdzikszy taniec tego dnia. Skakał jak rozwścieczona pantera, ku ogólnemu zdziwieniu swoich braci.

Wtem stanął spokojnie i rzucił dziko oczyma po otaczającym go kole. Potem skoczył w stronę kobiet i chwyciwszy Kudię, pociągnął ją za długie jej warkocze na sam środek ronda i nim otoczenie mogło zdać sobie sprawę z tego co się stało wetknął jej ostry nóż głęboko w piersi.

Kudia skonała na miejscu bez jęku. Leżała w kałuży krwi, która ciągle jeszcze sączyła się z jej piersi, a zabójca maczał ręce w tej krwi, osmarował nią twarz swoją i ręce. Kąpał się formalnie w tej krwi z jakąś dziką, zwierzęcą lubieżnością.

Wszystko to było dziełem jednej minuty. Obecni osłupieli na ten widok. Wreszcie pojmując co się stało, wydali jednogłośnie dziki, przeraźliwy okrzyk i rzucili się, ale nie na mordercę, aby pomścić krew, jak czytelnicy pewno przypuszczają — lecz w szeregi kobiet.

Za dobrym przykładem złapał każdy ofiarę swą za włosy, pociągnął ją na środek i kąpał się formalnie w krwi zamordowanej dziewczyny lub kobiety.

Powstał straszny tumult. Głośne krzyki zarzynanych ofiar mieszały się z dzikiem wyciem morderców. Kobiety pozostałe przy życiu uciekały w głąb lasu i zaczęły tam głośno opłakiwać smutny los swych towarzyszek.

Mała zaś garstka poważnych mężczyzn, którzy nie brali udziału w tej dzikiej rzezi jak: Lew, Ukas, Masconjee, Mucktinckow i kilku innych wraz z Billem i Leonem, rzucili się na morderców.

Wszczęła się między nimi zacięta, śmiertelna walka, w której pomszczoną miała być śmierć żon i córek tak okropnie wymordowanych.

Tak więc wyrzynali się wzajemnie synowie jednego szczepu. Coraz liczniejsze trupy pokrywały pole walki. Noc zapadła, a rzeź trwała jeszcze dalej.

Wreszcie zeszedł księżyc w pełni i łagodnym światłem oświecił straszną tę scenę.

Z setek walecznych wojowników została zaledwie mała garstka.

Leon został zraniony w ramię i gdy się usuwał z pola bitwy, zobaczył martwe ciało Kudii oświecone promieniami księżyca.

Serce mu się ścisnęło z żalu i aby ochronić trupa jej od dalszego pastwienia się tych wampirów w postaci ludzkiej, wziął martwe ciało jej na swe ręce i pobiegł z nim w głąb lasu, idąc za żałosnym krzykiem zbiegłych kobiet.

Za sobą słyszał jeszcze straszne wycie wojowników winebagskich, którzy wytępiali się do ostatniego.

ROZDZIAŁ CCXXIX

Ciążące węzły zerwane

Wróćmy znów na chwilę do hrabiego Eryka Raucha, któregośmy przed kilku tygodniami zostawili w haciendzie Sennora La Paz, w sidłach pięknej Anuncjaty.

Przypominamy szanownym czytelnikom bogaty, lecz dziwnie według naszego gustu wyglądający salon. Mimo niewczesnego

już poranka nie było tam prócz hrabiego nikogo zresztą.

Stół nakryty do śniadania, wyglądał jak zwykle nie po europejsku, a Eryk zniecierpliwiony przechadzał się tam i napowrót po pokoju. Wreszcie zadzwonił silnie, a gdy weszła Marikuita, zapytał:

— Czy Sennora nie wstała jeszcze?

— Byłam już trzy razy w pokoju donny Anuncjaty, aby jej dać znać, że już czas do wstawania — uniewinniała się Mariquita — ale ona ofuknęła mnie trzy razy i powiedziała, że nie ma chęci wstawać przede dniem.

— Idź raz jeszcze — rzekł hrabia, marszcząc brwi — i powiedz, że ja Sennorę bardzo proszę, aby wstała natychmiast i że na nią czekam!

Ledwo widoczny, szyderczy uśmiech przebiegł przez twarz pięknej Mariquity, lecz wyszła posłusznie ze zlecenia hrabiego do pokoju swej pani, skąd Eryk usłyszał wkrótce żywą rozmowę. Zachmurzył się znów, a twarz jego nie rozjaśniła się wcale, gdy drzwi się otworzyły i weszła Anuncjata.

Widok jej nie był też wcale czarujący. Wyglądała jak niemyta i nieczesana. Włosy w nieporządku, oczy zaspane i gniewny wyraz twarzy nie dodawał jej wdzięku. Na nocną koszulę miała tylko narzucony kremowy szlafrok, którego wstążek nawet porządnie nie związała.

Nie powiedziawszy mu nawet dzień dobry, rozciągnęła się niedbale w fotelu, przy czym Eryk zauważył, że nie włożyła nawet pończoch, a nagie jej nóżki tkwiące w złotych pantofelkach, nie bardzo były czyste.

Gniewny i rozczarowany zaczął przyglądać się jeszcze dokładniej i spostrzegł, że i na drobnych jej paluszkach były jeszcze ślady czekolady i konfitur, które jadła wczoraj wieczór na werandzie.

Rumieniec gniewu i wstrętu oblał twarz jego, a czoło bardziej jeszcze się zmarszczyło na widok rozchodzącego się z przodu szlafroka, który odsłaniał jej szyję i pełny biust.

Ona zdawała się nic sobie z tego nie robić, nawet gdy służący wszedł ze śniadaniem na tacy.

— Anuncjato! — zawołał wreszcie Eryk ostro — proszę cię usilnie, abyś uporządkowała swoją toaletę. Dziwię się, że się przede mną nie wstydzisz, ale wprost oburzony jestem na to, że i na obecność służby męskiej nie bierzesz względu!

— O, odpowiedziała Anuncjata, nie ruszając się z miejsca — nie po raz pierwszy mnie tak widzą.

Odpowiedź ta poruszyła hrabiego do żywego. Zatrząsł się z ciężko tłumionego oburzenia. Żądał on od płci pięknej wstydliwości i czystości uczuć, a Anuncjata zdawała się nie mieć pojęcia o tych cnotach.

Spojrzenie, którym hrabia obrzucił teraz swą narzeczoną tak było ostre, że Anuncjata mimowoli wzięła wstążkę do ręki i zawiązała kokardę na piersi. Potem schyliła się zachmurzona nad swoim śniadaniem, nic do niego nie mówiąc.

Eryk mało dziś jadł na śniadanie i gdy Anuncjata, posiliwszy się, rozłożyła się znów z przymkniętymi oczyma w fotelu, zapytał z wymuszoną łagodnością:



Władze francuskie z wielkim zastrzeżeniem przyjmują sensacyjne wiadomości o wykryciu kryjówek broni u t. zw. „Cagoulardów" — kapturowców. Kilkunastu studentów sprawę tę wzięło na wesoło. Na zdjęciu widzimy przemarsz rozbawionej grupy „kapturowców".

— Czy nie byłby już czas się przebrać?

— Ty możesz się przebierać, jak chcesz! — ofuknęła piękna meksykanka — ja chcę tak zostać!

— Przecież przez cały dzień tak nie będziesz chodziła — rzekł hrabia obrażony. — Moje dziecko, to być nie może! Ubierałaś się przecież dotychczas zawsze tak pięknie i starannie!

— Tak, na początku naszej znajomości — rzekła Anastazja obojętnie — ale teraz nie potrzebuję tego więcej, bo ty i tak wiesz, że jestem ładna.

Hrabia Eryk zacisnął ręce w niemej wściekłości.

I to była jego narzeczona! Taka nędzna, niska dusza w tak pięknym ciele! Chciał on sobie Anuncjatę wychować, ale teraz zaczął wątpić, czy mu się to uda!

Postanowił jednak na razie uzbroić się w cierpliwość i łagodność i spróbować jeszcze, czy mu się przecież nie uda wpłynąć na donnę Anuncjatę. Urwał więc tę drażliwą kwestię i zapytał znów uprzejmie:

— Do czego się teraz myślisz zabrać, Anuncjato?

— Nie wiem! — odpowiedziała młoda dziewczyna, ziewając.

— Może wyjedziemy konno? — zaproponował.

— Nie, za gorąco dziś na konną przejażdżkę — odpowiedziała Auncjata, a był to argument, który Eryk musiał przyjąć.

— No, to będę ci coś czytał! — rzekł uprzejmie Eryk. — Znalazłem tu wczoraj nierozcięty jeszcze romans Dundet'a, który cię pewno zajmie.

— Czytać! — powtórzyła piękna meksykanka — oh, jak strasznie!

— Nie potrzebujesz sama czytać — perswadował jej znów narzeczony ze sztucznym spokojem — ja będę ci na głos czytał, tak, jak gdybym ci jakąś historyjkę opowiadał!

— To tak nieprzyjemnie słuchać! — odparła znów opryskliwie. — Ty tak głośno czytasz, że nawet zasnąć nie można!

— Bo też ja na to nie czytam, aby przy tym zasypiać! — odpowiedział Eryk już trochę rozdrażniony. Może więc chcesz, abym ci zagrał?

— I to nie — odpowiedziała zniecierpliwiona, nie motywując już nawet tej odmowy.

— Ależ moje kochane dziecko — rzekł hrabia ostro, musisz się przecież czymś zająć! Ta niemożliwe, abyś tak cały dzień próżnowała!

— Skręcę sobie papierosa — odpowiedziała Anuncjata, przekonana, że i to jest pracą.

— Kręcić i palić, palić i kręcić — zawołał hrabia — czy to jest zajęcie, którym sobie można wypełnić życie? Czy masz z tego jaką korzyść dla swego umysłu?

— Naturalnie — rzekła znów meksykanka, nie zrozumiawszy go zupełnie — przy paleniu czas bardzo przyjemnie uchodzi. Prócz tego mam jeszcze wachlarz którym się chłodzę i nie nudzę się przy tym wcale.

W takim razie nie będę ci przeszkadzał w twym zajęciu — odparł Eryk gniewnie — i pojadę sam konno na spacer.

Popatrzył jeszcze raz na Anastazję, jak gdyby oczekiwał, że go zatrzyma, lecz piękna meksykanka tak była zajęta kręceniem i zapalaniem papierosa, że ledwie słyszała, co do niej mówił.

Rzuciwszy jej pożegnalne słowo, oddalił się Eryk, a gdy po kilku minutach przejeżdżał pod werandą, widział Anuncjatę siedzącą w tym samym fotelu, w tej samej niedbałej pozie z papierosem w jednej, a dużym wachlarzem w drugiej ręce.

W miejsce zachwytu, którym go zawsze widok pięknej narzeczonej napełniał, uczuł teraz tylko gorącą niechęć; dał koniowi ostrogi i popędził galopem.



Pięć hydroplanów brytyjskiej floty powietrznej zaprawia się obecnie do najdłuższego z dotychczas poczynionych lotów zespołowych. Trasa lotu prowadzić będzie z Plymouth do Australii i z powrotem i wynosi około 34 tys, km. Lotnicy spodziewają się przybyć na obchód 150-lecia istnienia m. Sydney. Na zdjęciu eskadra w locie próbnym nad m. Plymouth.

Stopniowo jednak koń zwalniał tempa, a i myśli Eryka nie były już tak wzburzone jak poprzednio.

Musiał się przyznać, że zaręczając się z Anuncjatą popełnił wielkie głupstwo i szczęśliwy był, że słuchając rad Leona, dotychczas jeszcze z nią nie był zaślubiony. Pierwszy szał miłosny już przeszedł u Eryka, ale na dnie serca pozostało jeszcze pewne uczucie dla uwielbianej niedawno kobiety.

To uczucie właśnie kazało mu się uzbroić w cierpliwość i spróbować raz jeszcze, czy przecież nie uda mu się miłością i łagodnością zwalczyć jej wad.

Z tym postanowieniem wrócił hrabia Rauch po kilku godzinach do hacjendy. Zajechał od tylnej części domu, odprowadził sam konia do stajni i zbliżał się niespostrzeżonie ku domowi.

Przed werandą słyszał bardzo podniesione głosy kobiece i zbliżywszy się do niej, rozpoznał wyraźnie głos Anuncjaty, kłócącej się ze służbą.

Wiedziony nieprzepartą ciekawością skrył się hrabia za krzakiem, za którego mógł wyraźnie widzieć i słyszeć co się działo na werandzie.

Przy stole siedziała Anuncjata z Miriquitą i dwiema innymi służącymi, Mercedes i Carmen. Na stole leżała garstka drobnej monety, a wszystkie cztery niewiasty trzymały karty w ręku. Grały widocznie i przerwały sobie teraz tylko tę zabawę sprzeczną, która stawała się aż nadto głośną.

— Oszukałaś nas! — krzyczała Mercedes na swoją panią — ty musisz mieć waleta pikowego, a w takim razie wygrana jest moja!

— Co? — krzyknęła Anuncjata dziko — ty śmiesz mi mówić, że ja cię oszukuję? Oto masz zapłatę!

To rzekłszy, wyciągnęła rękę i wymierzyła służącej silny policzek.

Wtedy Mariquita i Carmen ujęły się za swą towarzyszką i wszystkie trzy krzyknęły znów na głos:

— A przecież tyś nas oszukała! Wstydź się pani!

I we troje opadły Anuncjatę i rzeczywiście wyciągnęły jej z rękawa kartę. Mając corpus delicti w ręku, zaczęły żywicielkę swą besztać co się wlazło.

— W piekle się będziesz smażyć — krzyczała Mercedes — a ja ci nawet kropli wody nie podam, aby pragnienie twe ugasić.

— Wstydź się, oszukiwać swe służące za ciężko zarobiony grosz. Nigdy więcej z tobą grać nie będziemy! — wrzeszczała Carmen — a teraz dzielmy się pieniędzmi! — dodała, zwracając się do swych towarzyszek.

Propozycja ta bardzo się podobała i ulagodziła znacznie wzburzone namysły trzech służących.

Anuncjata żądała też swej części w podziale, ale daremnie!

— Nic nie dostaniesz! — irytowała się Mariquita — a jak nie przestaniesz się napierać, to zaskarżę cię do pięknego, jasnowłosego hrabiego, żeś nas oszukała!

— Nie dbam o to — rzekła Anuncjata pogardliwie.

— O. — zawołała znów Mariquita — Sennor Conde nie powie: Nie dbam o to, lecz siądzie na koń i ucieknie od ciebie jak się dowie, że z ciebie taka szachrajka!

— Niech raczej ucieka, raczej dziś, niż jutro — krzyknęła piękna meksykanka z niemiłym śmiechem — już go mam do syta! Nie dla mnie taki świętoszek? To już Don Manuel zupełnie był inny! Ale chodźcie, zacznijmy nową partię!

— Nie będziesz nas jednak znów oszukiwać! — zawołały trzy służące jednogłośnie.

— Nie, na płaszcz Najświętszej Panny Maryi z Vera-Cruz — przysięgała się Anastazja — możecie mi na ręce patrzeć i uważać.

Zaczęła się nowa partyjka kart, przerywana śpiewem lub przekleństwem.

Eryk, mając już dość tego co widział i słyszał, wysunął się cicho zza krzaków i pośpieszył do gaju pomarańczowego. Biegał po gaju, jak szalony tam i z powrotem. Szczęśliwy traf dał mu poznać charakter Anuncjaty w całej nagości i szkaradzie. Gdzie się podziały wszystkie te przymioty, które widział w niej w pierwszym czasie poznania? Wszystkie marzenia i piękne sny jego się rozwiały, a została tylko brzydka, smutna rzeczywistość i i gorzkie rozczarowanie.

Wiedział wprawdzie, że kobiety meksykańskie nawet z wyższych sfer, są okropnie chciwe i namiętnie grają, ale przypuszczał, że narzeczona jego stanowi wyjątek!

Tymczasem przekonał się, że Anuncjata oszukiwała własne swe służące dla kilku nędznych groszy!

Hrabia uczuł w tej chwili takie obrzydzenie, że zapomniał nawet o swej obrażonej miłości własnej. Sprzykrzył się Anuncjacie i zatęskniła za dawnym jakimś kochankiem Mannelem, i miała tylko jedno życzenie, aby się jego, hrabiego Eryka Raucha pozbyć jak najprędzej, raczej dziś — niż jutro, jak się wyraziła.

To życzenie bardzo prędko jej się spełni — mruknął — nie byłbym mężczyzną, gdybym nie potrafił zerwać te niegodne mnie pęta. Nienawidził ją teraz i pogardzał nią o tyle, o ile ją dawniej kochał i ubóstwiał.

Po pewnym namyśle wzbudziły się w nim pewne wątpliwości. Był arystokratą w każdym calu; sprzeciwiało mu się to przyjąć tak bez rewanżu kilkutygodniową gościnność sennora La Paz. Obdarzył wprawdzie w tym czasie Anuncjatę dość suto, ale nie wydawało mu się to dostatecznym.

Podczas, gdy się namyślał co zrobić i jak to urządzić, zobaczył z daleka tłustą, zaspaną twarz sennora La Paz. W tej chwili plan jego był gotowy.

Postanowił nie widzieć się już wcale z Anuncjatą i całą tę nieprzyjazną sprawę z ojcem jej załatwić. Hrabia nauczył się bowiem przez tych kilka tygodni tyle po meksykańsku, że mógł się z właścicielem hacjendy porozumieć.

— Sennor! — przemówił Eryk do La Paza — dostałem właśnie wiadomości, które mnie zmuszają do natychmiastowego odjazdu do Meksyku.

— Oh — zawołał otyły jegomość z żalem, nie pytając jednak o bliższe szczegóły i o posłańca, który wiadomość przyniósł.

— Chciałem pana tylko prosić — zaczął znów hrabia — abyś pan był taki dobry przechować mi część mojej gotówki dopóki nie wrócę. Okolica bowiem jest tu tak niepewna, że lepiej będzie, jak nie wezmę ze sobą tyle pieniędzy, tym bardziej, że sam jechać zamierzam.

— Pewnie, pewnie — odrzekł sennor La Paz — daj mi pan te pieniądze do przechowania. Będą one u mnie tak pewne, jak na łonie Abrahama!

Tak mu się przy tym świeciły oczy, że Eryk pomyślał:

— Starego widocznie bardzo ucieszyłem i przypuszczam, że mi tego wcale za złe nie weźmie, jak mu pieniądze zostawię i więcej po nie nie wrócę!

Sennor La Paz odprowadził hrabiego Eryka do gościnnego pokoju, który tenże

zamieszkiwał, a który mu się teraz wydawał brudniejszy i bardziej zaniedbany niż kiedykolwiek.

Gdy wręczał sennorowi rulon złota do przechowania, uśmiechnął się gruby jegomość zadowolony i zaręczył znów solennie, że powierzony mu skarb strzec będzie jak oka w głowie.

Następnie spakował Eryk małą swą walizę bez trudności i ku wielkiemu zadowoleniu sennora La Paz wyniósł ją sobie sam, nie zadzwoniwszy na żadnego ze służących.

— Pożegna się pan jeszcze z Anunciatą? — zapytał sennor La Paz, przyszedłszy na myśl tę dopiero, gdy usłyszał głos swej córki.

— Nie — odparł Eryk, wychodząc pośpiesznie — przecież ja wkrótce wracam!

Stary wcale się temu nie zdziwił. Uścisnął mu serdecznie rękę, którą mu hrabia podał na pożegnanie i zawołał:

— Szczęśliwej podróży, sennor Conde! Niech pana Matka Boska ma w swojej opiece i wracaj pan szczęśliwie!

Sennor La Paz nie miał najmniejszej wątpliwości, że hrabia wróci. Zostawił przecież tyle złota! Gdyby zamiast tego był coś zabrał, nie byłby stary Meksykanin taki spokojny i pewny powrotu.

Hrabia Rauch wsiadłszy na koń, dał mu ostrogi i popędził galopem. Gdy już był w pewnej odległości, odwrócił się raz jeszcze w stronę hacjendy i rzucił na nią ostatnie spojrzenie: bez cienia żalu jednak.

Przeciwnie, miał uczucie więźnia, który się po długiej niewoli dostaje na wolność i cieszy się tą swoją wolnością!

ROZDZIAŁ CCXXX.

Nic nie wywiera takiego wrażenia na ludzi jak złoto, błyszczące, twarde złoto. Czarowi jego mało serc tylko oprzeć się może.

Wereneli, żona kłusownika, upadała już prawie pod naciskiem biedy i nędzy.

Piękna jej twarz straciła swą świeżość, a wesołość jej znikła zupełnie, ustępując ponuremu, kłótliwemu usposobieniu. Wąskie, blade jej usta otwierały się tylko na to, aby Ksaweremu robić wyrzuty i docinki.

Nie przyszło jej jednak na myśl, że i ona ponosi wielką część winy, bo gdyby mężowi nie była kłótliwością zatruwała pobytu w domu, nie byłby popadł w dawną swą namiętność, w kłusownictwo.

Inny na jego miejscu byłby może szukał pociechy w karczmie i w wódce topił wspomnienie o domowej niezgodzie. Ksawery nie był jednak pijakiem i gdy mu Wereneli zanadto dokuczała, łapał za strzelbę i biegł do lasu, aby w polowaniu szukać uspokojenia po piekle domowym.

Jeszcze w drodze do Petershagen walczyła Wereneli ze swoim złym humorem.

Była ona tak skąpą, że z ciężkim sercem rozstawała się ze swoją nędzną chatką, z każdym zbitym garnkiem i wypłowiałą chustką. Wszystko to wydawało jej się teraz cennym i w duchu rachowała, ile to wszystko warte.

Zły humor jej jednak poprawił się znacznie, gdy mąż jej, wstąpiwszy z nią i dziećmi do sklepu znanego nam Lichtblaua, zawołał triumfująco:



Boża Narodzenie i dobra pieczeń gęsia stały się dla niektórych smakoszów nierozerwalnym pojęciem. Już teraz w miastach widać masę gęsi na sprzedaż, znak, nieomylny, że święta tuż, tuż!..

— Wereneli, wybierz sobie najlepszą i najpiękniejszą suknię! Cierpiałaś dość długo biedę, moja biedna kobieto!

Pan Lichtblau, który spoglądał początkowo z wielką rezerwą na obdartego swego klienta, zmiękł teraz i zapytał:

— Miałeś szczęście, Ksawery?

— Może — odparł zapytany, uśmiechnąwszy się — a teraz pokażcie co tylko macie w sklepie najpiękniejszego i najdroższego. Moja kobieta jeszcze młoda i jak się ładnie ubierze, to jeszcze niejedną dziewczynę zakasuje.

Wereneli zarumieniła się słysząc ten komplement i zaambarasowała się równocześnie na wspomnienie, że już się trzy dni nie czesała.

Lichtblau nie dowierzając jeszcze zupełnie fortunie Ksawerego, postanowił dać mu tylko bardzo mały kredyt i dlatego pokazał mu tylko najstarszy, najbrzydszy i najtańszy towar, zachwalając go i zachęcając Werenelę uprzejmie do kupna.

Lecz były kłusownik dość był przebiegły, aby odgadnąć pobudki Lichblaua. Wyjął więc z kieszeni 50-cio guldenowy banknot i przybliżywszy go aż pod sam nos Lichtblaua, rzekł triumfująco:

— Myślisz pewnie, że nie mam ani centa przy duszy. Oto patrz! Czy wiesz, co to jest?

Lichtblau oglądnął banknot okiem znawcy, a przekonawszy się, że jest prawdziwy, powziął szlachetny zamiar nie wypuścić swego klienta, dopóki za lichy towar nie zostawi u niego całej pięćdziesiątki.

Aby postanowienie to wykonać, chwycił się stosownych środków. Szepnął żonie swej na ucho:

— Zrób prędko duży imbryk kawy i poślij po babkę, daj do kawy dużo cykorii i ocukrz ją dobrze. A śpiesz się z tym.

Oszczędna jego połowica wahała się jeszcze z wykonaniem rozkazu męża, ale gdy jej wyperswadował, że wróci się to dziesięciokrotnie w interesie, wyszła prędko do kuchni.

Lichtblau zaś zaczął teraz wyszukiwać najpiękniejszy swój towar.

Wereneli wybrała suknię liliową w paski, która i Ksaweremu dość się podobała.

— A teraz musisz swej żonie do tego kupić stosowną halkę, — rzekł kupiec — bo to nie bardzo ładnie wygląda, jak z pod eleganckiej sukni widać brudne łachy. I suknię trzeba trochę zwężyć, bo jest za szeroka. A jaką śliczną figurę ma w niej twoja żona! — dodał z uśmiechem upodobania — jak jaka miejska panna!

Wereneli czuła się bardzo dumną, a Ksawery uśmiechał się zadowolony i oświadczył, że jest gotowym przybrać żonę i dzieci od stóp do głowy.

Wereneli przeglądała się z upodobaniem w dużym, ściennym zwierciadle i skonstatowała, że jest jeszcze wcale ładną kobietą. I dzieci wyglądały porządniej w nowo kupionych ubrankach.

Tylko Ksawery sam wyglądał obok nich teraz okropnie w starych swych spodniach i wypełzniętym surducie.

Jaki on dobry — pomyślała Wereneli — najpierw pomyślał o mnie i dzieciach, a siebie zostawił na sam ostatek!

Myśl ta tak ją rozczuliła, że popatrzyła na Ksawerego serdecznie. On odpowiedział jej również ciepłym spojrzeniem i uśmiechnął się do niej życzliwie.

Tymczasem opinała pani Lichtblau suknię na Wereneli, udając wielkie rzeczoznawstwo i przyrzekając, że będzie leżała jak zrobiona na miarę.

— Jak długo poprawka potrwa? — zapytała Wereneli i Ksawery równocześnie — a musicie nam tę drobnostkę już zadarmo zrobić ;nie damy ani centa za to!

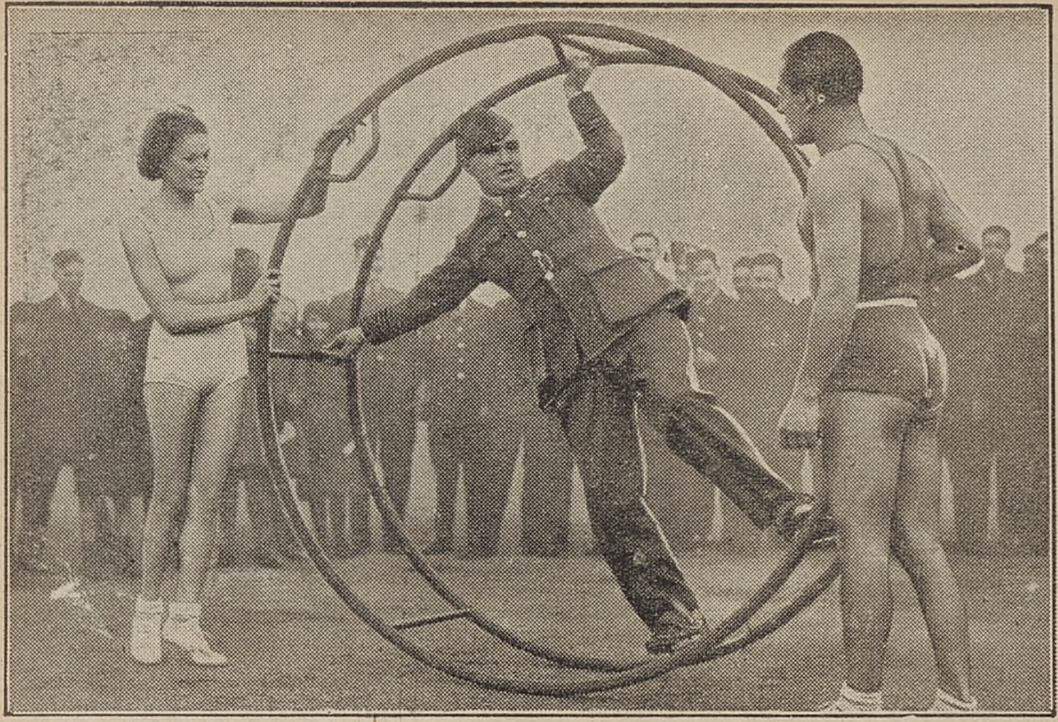
— Nic za to nie wezmę — uspokajał ich Lichblau — abyście wiedzieli jak jestem sumienny i usłużny dla was. Niech mnie Bóg broni, abym was choć na centa oszukał.

— Ale pytam się, czy to prędko będzie — powtórzył Ksawery niecierpliwie.

— To nie potrwa wcale długo — odpowiedziała pani Lichtblau — teraz napijemy się szklaneczkę kawy, a tymczasem Berta zrobi poprawkę!

— Musicie mi jeszcze 2 reńskie opuścić — nalegała Wenereli.

— Co mówicie, kochana Wereneli — parł Lichtblau, podnosząc ręce do nieba — ja na całym waszym towarze tyle nie zarobiłem! Już i tak wszystko macie pół darmo! Dałem to tak tanio, abyście znów do mnie kiedyś przyszli!



Na zaproszenie dowódcy stacji lotniczej Cranwell w Lincolnshire przybyła tamże pewna grupa niemieckich specjalistów od koła treningowego, demonstrując lotnikom technikę opanowania tego koła zwanego „rhönrad". Dowódca oddziału lotn. J. R. Cassidy pokazał, że i on daje sobie radę z kołem treningowym.

Wereneli dała już spokój, a i Ksawery wyglądał zadowolony z interesu.

— Porachujmy się teraz — zaczął znów Lichtenblau — z tej 50-tki zostaje wam jeszcze 6 zł i 10 centów. Za to musi sobie jeszcze Ksawery kupić kabat, bo nie możecie się teraz tak odbarty pokazać ze swoją żoną.

— O, jest na to rada — zaśmiał się Ksawery — mam jeszcze pieniędzy i jak mi możecie zmienić, to jeszcze więcej u was kupię!

— Pewnie, że mogę zmienić! — zawołał Lichtblau gorączkowo — pokaż twoje pieniądze!

— Proszę pani, kawa już gotowa! — zameldowała służąca, gruba, zdrowa dziewczyna, której widocznie dobrze się tu powodziło.

— Chodźcie napić się z nami trochę kawy — zapraszała pani Lichtblau, a zwróciwszy się do Miny dodała:

Ty zostań tymczasem w sklepie, a jak jaki gość przyjdzie, to zawołasz pana.

— Dobrze, dobrze — odparła Mina zadowolona i stanąwszy koło okna wyglądała ciekawie na ulicę.

Lichtblauowie weszli tymczasem ze swoimi gośćmi do małego, bardzo ciepłego i dusznego pokoiku i usiedli wokoło stołu, na którym stała kawa i babka. Ksawer z żoną i dziećmi zajadał smacznie, a i gospodarze pili z apetytem. Gdy się posilili, zapytał znów Lichtblau:

— No, Ksawery, co będzie z kabatem?

— Zobaczymy, czy znajdę dla ciebie coś stosownego, rzekł Ksawery, wstając z krzesła.

Po długim szukaniu wybrał wreszcie całe, kompletne ubranie dla siebie i ku zdziwieniu Lichtblaua, zapłacił za nie drugim banknotem 50-cio guldenowym.

— Na Boga! — zawołał — przecież masz pieniędzy jak sieczki! Jakim to sposobem do tego przyszedłeś!

— Mówiłem ci przecież, że miałem szczęście — odpowiedział dawny kłusownik z tajemniczym uśmiechem.

— Powiedz wyraźnie, jak to było? — nalegał Lichtblau.

— Po co? — zapytał Ksawery — ja się ciebie nie pytałem o twoje tajemnice, a ty nie potrzebujesz wiedzieć o moich. Zapłaciłem ci wszystko gotówką, a więcej ode mnie nie możesz żądać.

— Dlaczego mu nie chcesz powiedzieć. Ksawery — zapytała Wereneli, która była dużo mądrzejsza i obawiała się, aby Lichtblau nie powziął jakiegoś złego podejrzenia, jak mu nie zmyślą jakiejś wiarogodnej bajki co do wzbogacenia się ich i to tak nagłego wzbogacenia się. Zwróciwszy się więc do kupca zaczęła mu opowiadać:

Matka Ksawerego, stara już kobieta, wygrała długoletni proces i dostała większą sumę pieniędzy. Napisała więc zaraz po nas i posłała nam kilkaset reńskich, abyśmy się do niej sprowadzili.

— Naprawdę? — zapytał Lichtblau z niedowierzaniem — nie wiedziałem nigdy o tym, że Ksawery ma tak bogatych krewnych.

— Trudno przecież o wszystkim wiedzieć — rzekła Wereneli łagodnie. — Jak poprawka w sukni mojej będzie gotowa, to się przebiorę i możemy pójść!

— Już by był najwyższy czas abyśmy wyszli, bo inaczej zakupimy jeszcze cały sklep Lichtblaua! — zawołał Ksawery.

— No, Izydor, możecie dzień dzisiejszy w kalendarzu czerwono podkreślić, bo z zarobku tego pewno cały tydzień będziecie mogli żyć.

— Pewnie, pewnie — pokiwał Lichtblau smutnie głową — zarobiłem akurat na sól do zupy! Tylko z przyjaźni dla was, wszystko tak tanio dałem.

— Ale komu to mówisz! — śmiała się Wereneli i włożywszy nową swą suknię odeszła z mężem i dziećmi w bardzo dobrym humorze.

Zdawało się, jakby młoda kobieta wraz z nową suknią zmieniła i usposobienie. Czuła się wprost silniejszą i zdrowszą. Śmiejąc się wesoło, niosła zawiniątko, w którym się znajdowała stara garderoba całej rodziny, podczas gdy Ksawery dźwigał dzieci.

— Dokąd idziemy teraz? — zapytała Wereneli swego męża.

— Pojedziemy koleją do mojej starej matki — rzekł Ksawery — niech się cieszy ładną synową i miłymi wnuczkami!

— Jezusie Święty, a ja się już kilka dni nie czesałam — krzyknęła Wereneli — co ona sobie o mnie pomyśli?

— Pomyśl, że to tak z podróży — uspakajał ją Ksawery.

— Powinniśmy kupić kawę, cukier i trochę pieczywa, aby nie przyjechać do twojej matki z próżnymi rękoma — zaproponowała Wereneli.

— Bardzo dobra myśl — pochwalił ją mąż — u matki pewno bardzo kuso i będzie biedaczka zadowolona z prezentu! Wprawdzie Lizia, moja najmłodsza siostra, która jest w mieście u piekarza, daje matce trochę utrzymania, ale co taka biedna dziewczyna tam może oszczędzić?

Nakupiwszy więc w kilku różnych sklepach wymienione prezenty, poszli wprost na dworzec i po kilkugodzinnej nużącej jeździe, przybyli wreszcie do miasteczka, w którym mieszkała matka Ksawerego; że już jednak było bardzo późno, przenocowali w oberży.

Młoda kobieta zdawała się nie czuć nawet trudów podróży, śmiała się i rozmawiała wesoło, a dla Ksawerego miała tylko serdeczne słowa i spojrzenia. Była mu nieskończenie wdzięczna za swą nową garderobę, która podziałała na nią, jak jaki odżywczy eliksir.

Ksawery zaś podniósł jeszcze dobry humor swej żony obietnicami przyszłego dostatku i szczęścia.

Nazajutrz rano najął ex-kłusownik wóz i konie i pojechał z rodziną swą do wsi, w której mieszkała jego matka.

Była to 60-letnia staruszka, która nie posiadała się z radości na widok syna, synowej i wnucząt. Przyjęła ich serdecznie i ugościła, jak tylko mogła najlepiej.

— Jaką ładną masz żonkę, a jakie serdeczne dzieciaczki! — chwaliła starowina — ze łzami radości w oczach.

Całowała i pieściła swe wnuczęta i patrzyła z dumą na synową.

Ksawery rósł i promieniał, widząc radość matki i słysząc jej zachwyt. Zapomniał jak nieznośną była dawniej dla niego Wereneli i wmawiał sobie, że posiada perłę wszystkich kobiet.

— Co za szkoda, że Lizy w domu nie ma — rzekła znów starowina — chociaż to z drugiej strony szczęściem dla niej, że się dostała do Wiednia.

— Co za szczęście? — zapytał Ksawery — czy może bogato za mąż wyszła?

— To nie — odpowiedziała matka — ale zawsze lepiej jej teraz, niż dawniej, jak była u piekarza i musiała od 5-ej zrana do 11-ej w nocy ciężko pracować i nie miała nawet tyle czasu, aby spokojnie zjeść. Teraz zaś jest we Wiedniu i musi jej się bardzo dobrze powodzić, bo jeszcze ani razu nie pisała.

— A do kogo ona tam pojechała? — zapytał znów Ksawery.

— Było tak — zaczęła znów starowina — wyczytała raz w gazecie, że star-

Ciąg dalszy na str. 997.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

GRUDNIOWY WIECZÓR

Już się powoli ściemnia,
napływa liliowy zmierzch —
zcichło na polach dalekich,
jak spojrzeć wzdłuż i wszerz.

Przycichł skrzypiący żóraw
i odgłos ze zbłąkanych dróg — —
tylko przy krzyżu przydrożnym
sam jeden zamieszkał Bóg...

Wsłuchał się w ciszę gwiezdną
i w senny poszmer drzew,
zapada grudniowy wieczór
— jak kołysanki śpiew...

Ktoś w wiosce zagrał na flecie,
na krótko — bo przycichł ton!...
a tak się zdawało, jakoby
w sercu rozpłakał się dzwon...

Cicho... wiatr nawet zasnął
w splątanych gałęziach gniazd...
modli się Chrystus na krzyżu,
wśród migocących gwiazd...

Józef Baranowski.

BĄDŹ PEWNĄ!

„*Złote Słoneczko*". Spóźniłam się trochę z odpowiedzią do Pani. Kochana, ale to już nie z własnej winy. Wybaczysz mi — prawda? odpowiedzią do Pani, Kochana, ale to już nie ani tym mniej, groźna, abyś nie mogła mnie uściskać. Jeździć dużo — może wpadniesz kiedy do Żnina? Bardzo, bardzo ucieszyłabym się!

Pozdrawiam serdecznie i przechodzę do Twoich długich komunikatów!

„Echo Wsi", jak się czujesz, Kochanie, po moim odjeździe? Bardzo Cię proszę przyjedź! Całuje Cię kochające Cię „Złote Słoneczko".

„Romantyczko", wybacz, że do Ciebie nie pisałam, bądź tak dobrą i skrobnij list do mnie. Proszę Ciebie, niedługo zawitam do Poznania, to sobie wszystko opowiemy. Moc słonecznych promieni zasyłam Tobie.

„Rozkoszna Dziewczynko" jak pojedziesz do Grudziądza, to pozdrów Wandę i niech się spodziewa mojej wizyty przy końcu listopada.

„Terenia spod Wrześni". Serdeczne składam Pani oraz mężowi podziękowanie za przysługę wyświadczoną mi.

„Krzysia znad Bałtyku". Dziękuję Ci Kochana za tysiączne pozdrowienia. Kochana Krzysiu napisz do mnie, odpowiedź będziesz miała murowaną. Jeśli napiszesz to „Złote Słoneczko" będzie Tobie świeciło w wycieczkach Twoich wieczorem jak pojedziesz rowerem, w ogóle wszędzie. Całuję Cię.

„Syney", czy jesteś szczęśliwy na nowym miejscu postoju? Przyjacielski uścisk dłoni zasyłam.

Mieczysławie Grzegorski — dziękuję za list oraz śliczne apaszowskie zdjęcie. Napisać do Ciebie nie mogłam — bo dużo podróżowałam. Może się Pan cieszyć, ponieważ poraz drugi zawitam do Katowic, przy sposobności zawitam do Sosnowca. Będę w towarzystwie sympatycznej Pani. Czekam na drugi list. Pozdrawia stara znajoma.

„Młody Orle" — dziękuję Ci za list oraz pocztówkę z Porąbki. Teraz może Pan napisać, to dam odpowiedź, bo mam dużo czasu.

„Biały Zwidzie" — jaki Pan niedobry — łudzi, że napisze, a ja mogę się prędzej śmierci spodziewać, jak listu od Pana. Czekam na odzew.

„Jesienny Wicher" — dziękuję za odwzajemnione pozdrowienia, oraz zasyłam dużo dobrych słów.

„Fakir" - nie chodziło mi wyłącznie, by prowadzić korespondencji na temat George'u. Pragnęłam zapoznać się z Panem bliżej, ponieważ często bywam w Poznaniu, bo właściwie mieszkam w Bydgoszczy, ale się mówi trudno — czemu milczał Pan. Prosi Pan „Złote Słoneczko" o list, proszę wiedzieć o tym, że pierwsza nigdy do mężczyzn nie piszę. Nadmieniam, że „Złote Słoneczko" i „Złote Słoneczko z Pomorza" jest jedną i tą samą osobą. Pozdrawiam serdecznie.

„Sentymentalna Lusia" — proszę wiedzieć, że mnie również na imię Lusieńka i z natury jestem sentymentalna. Oczy posiadam marzące — smętne, które się każdemu podobają, nie wiem, czy to prawda. Proszę napisz, sądzę, że powinnyśmy się najlepiej rozumieć.

Adamie Czekalski — posiada Pan w „Krainie" ogromne powodzenie, więc nie mam odwagi prosić Pana o list. Jestem zadowolona, że przynajmniej przyjmiesz od skromnego „Słoneczka" dużo życzliwych słów, pełnych szczerości.

ZAINTRYGOWAŁAŚ MNIE

„*Bławatek*". O nie! Nie gniewam się na Twoje dość długie milczenie — jednak lepiej, że się poprawisz. A jak Ty intrygująco opisałaś mi siebie — ależ ja teraz nie usiedzę z ciekawości i najniecierpliwiej czekać będę na dalsze pieśni!... Więc czekam! Pozdrawiam i czekam!...

„*Księżniczko Lino*" — chciałabym Panią bliżej poznać i wiedzieć, co Ją łączy z Ostrowem. Zasyłam miłe pozdrowienie.

„Bajko" — wprawdzie nie znam nudów, lecz skreśl do mnie kilka słów, gdyż pragnę z Tobą korespondować.

P. Tadeuszu M. — proszę przyjąć wyrazy uznania za wierszyk „Komu się zwierzyć". Ślę Panu także serdeczne pozdrowienia. Może zechciałby Pan nawiązać ze mną korespondencję? Bardzo podobają mi się wiersze p. Feliksa Płóciennika — są piękne i ujmujące.

P. Tadeuszowi Rawickiemu, „Białemu Zwidowi" i „Białej Ujali" ślę uznanie oraz dużo serdeczności.

Halo! „Szarej dziewczynce", „Sentymentalnej Lusi", „Czarnookiej Irce", Juwenalisowi", „Waldemu", „Lusi z Pucka", „Łobuzowi z Orchowa", „Czarnemu Hajduczkowi", „Fakirowi", „Samotnej Oleńce", „Żołnierzowi z grodu Lecha" oraz wszystkim „Kraniakom" zasyłam wiele, najserdeczniejszych pozdrowień i uścisków.

A w ogóle proszę o pamięć; pragnę i to bardzo — pozyskać Ich przyjaźń i z „Krainką" nawiązać nić sympatii.

POZDRAWIAM CIĘ!

„*Barcia*". To dobrze, Dziecino, że lubisz swój dom i pracę — tacy ludzie zawsze są zadowoleni i zadowolenie z sobą wnoszę wszędzie, gdziekolwiek się znajdą.

Na mnie Twój list też podziałał tak jakoś orzeźwiająco — postaraj się częściej mi przysłać takich radosnych słów parę.

Dumka wyszła za mąż — no, dobrze — życzę jej dużo szczęścia!

Były wakacje, były — a maluczko i będą znów nowe.

Pozdrawiam Cię, Maleńka, ciepło i przechodzę do komunikatów:

„Dumko" — wróciłam! Przyjęto mnie z marszem na czele za długą nieobecność.

Dziękuję Ci za listy i widokówki. Pamiętaj nadal o mnie!

„Czarny Hajduczku" — jesteś rozkoszną dziewczynką. Czy chciałabyś mnie obdarzyć swą sympatią? Jeżeli tak, to proszę napisz.

„Młody Orle"! Przepraszam za długie milczenie — tłumaczy mnie mój wyjazd. Wiadomość wkrótce.

„Don Juanie" — za pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam je z przyjemnością, lecz sama pierwsza nie napiszę. Czekam!

Wszystkim Siostrzyczkom i Braciszkom dużo serdeczności!

PROSZĘ WAS KRAINIACY O POMOC DLA NINKI!

„*Nina — harcerka z R.*" Dziecko Moje — przejęłam się tym, co mi napisałaś. Pragnę Ci dopomóc — napiszę do „Zuch — dziewczyny", ona mieszka w mieście i ma ogromnie dobre serduszko, może uda jej się znaleźć coś odpowiedniego dla Ciebie. Tylko nie zapomnij nadesłać mi swego adresu. Harcerka jest bystra i spostrzegawcza, więc i Ty winnaś była zorientować się, że musisz dać adres, jeżeli chcesz mojej pomocy. Ale wiem — Ty nie wierzysz już w dobroć ludzką, po doznaniu niejednej przykrości z jej strony.

No, pragnę Ci dowieść, że są i ludzie serdeczni oraz wrażliwi na bóle postronnych. Prawda „Krainiacy", że są?! Dowiedźcie to Ninee — proszę Was tkliwie! I dopomóżcie Jej w uzyskaniu posady! Skończyła szkołę handlową — a gotowa jest przyjąć posadę opiekunki dzieci, gdyż kocha malców i lubi się nimi opiekować.

Pisz, Dziecko — masz we mnie przyjaciółkę, która, jeżeli nie zdoła wyrobić Ci miejsca, to jednak nie przestanie interesować się Twoim losem.

Pozdrawiam Cię i proszę o adres!

ODRZUĆ SMUTKI!

„*Miła Cyganka*". Słuszność masz, Dziewczynko, że wierzysz, iż list Twój nie przebrzmi bez echa. Z żywą przyjemnością przyjmuję Cię do „Rodzinki" i nie wątpię, że dobrze Ci w niej będzie!

Za słowa uznania serdecznie dziękuję, a na Twoją ochotę zobaczenia p. Zofii nie mogę się gniewać. Owszem, przyjedź ją poznać — wprawdzie nie bardzo jest podobna do twoich wyobrażań, ale... to wszak nie przeszkodzi nam porozmawiać miło i serdecznie. Chętnie posłucham o Twoich zmartwieniach i może uda mi się zaszczepić Ci, że tak powiem, trochę beztroski.

Nie zgadzam się z Twym twierdzeniem, że ludzie cieszą się z cierpienia innych. — Uprzedziłaś się zbytnio — na ogół tak źle na świecie nie jest. Zdarzają się czasem jednostki niedobre, ale pod ogół podciągnąć tego nie można. Napisz mi o sobie, jeżeli nie zaliczasz i mnie do kategorii ludzi niewzbudzających zaufania — a wierzę, że uda mi się nawrócić Cię do wiary w serce naszych bliźnich. No i odrzuć daleko tę myśl, że mogą mnie nudzić Twoje wynurzenia — chętnie pomogłabym Ci cierpieć, gdyby to można, a jeszcze chętniej pomogłabym do wyrzucenia smutków na góry, na lasy!

Słuchaj — przecież i na wsi można sobie życie wypełnić pracą, lekturą i ewentualnie sportami. A teraz zbliża się właśnie zima — wymarzony okres na to wszystko! Proszę o Twój adres!

Halo! „Krainiacy" — „Miła Cyganka" pragnie korespondować z kimś z Pomorza. Mówi, że cieszyłaby się, gdyby to była jakaś, nauczycielka lub nauczyciel, albo jakiś urzędnik z majątku. Zresztą to obojętne — byleby ten ktoś był inteligentny i miły!

Wszystkim „Kraniakom" moc pozdrowień!

CO NOWEGO?

„*Królowa Gizella*". Co u Pani nowego, „Gizello? Wszystko, co mi napisałaś było ogromnie miłe — lecz uważam, że mogłaś trochę dłużej porozmawiać. Wiem, że masz zajęcie, ale zawsze!

Gazetkę przekazujemy Ci, jak chciałaś od 1 listopada, sądzę, że nie masz już kłopotu z odbieraniem na poczcie.

Wujkowi Januszowi przekazałam pozdrowienia — prosił Ci się pięknie kłaniać.

A teraz powiem „Krainiakom", co mi zleciłaś. Otóż „Dor — On'owi" dziękujesz za przesłane pozdrowienia — „Tu - Aldekowi" mówisz, że korespondencja nie dałaby Wam zadowolenia. „Nitrama" pytasz, dlaczego milczy i prosisz o parę słów. Ciekawi Cię, czy „Margaretka" i „Biała Kalia" są druhnami. Serdecznie pozdrawiasz „Jasnego Felka", „Łobuza z Orchowa", „Horda" i „Solidnego Ślązaka". Milczeniu tego ostatniego dziwisz się. A w ogóle to ucieszyłabyś się, gdyby któryś z wymienionych napisał do Ciebie!

Ponadto dla całej „Rodzinki" przesyłasz wyrazy szczerego sentymentu.

Ja też pozdrawiam Cię i posyłam dobry uśmiech.

PROSZĘ O ADRES

„Sarenka". Bardzo ujęło mnie to, że nie znając mnie jeszcze, zwróciłaś się, jak do starej, dobrej znajomej. Skąd mogłabym się gniewać o to?! Zaś już nie tylko nie gniewam się, ale bardzo, bardzo raduję, że mimo paru niepowodzeń i przykrości pozostałaś pogodną i pełną radości życia!

Owszem, ładny wybrałaś pseudonim, Ty mały, słodki Dzieciaku! Muszę się uśmiechać, gdy czytam Twoje równe, eleganckie literki na tym przyzwoitym papierze — te literki układają się w zdania pełne wdzięku i uroku. Na pewno jesteś benjaminkiem w domu i nie wątpię w to, żeś młoda. Przebija ta młodość w każdym zdaniu i nieledwie słowie:

„Jestem młodą dziewczynką, wzrostu średniego. Oczy mam piwne, włosy... ciemno — blond loki (ale naturalne).

Kocham śpiew, muzykę, a najwięcej te nasze cudne Bory Tucholskie!

Chociaż jestem mieszkanką miasta, przepadam za wsią! W lecie zaś przebywam przeważnie w leśniczówce lub na wsi. Tam tylko czuję się naprawdę szczęśliwą!

Proszę — bardzo proszę o przyjęcie mnie do „Krainki" — tak pragnę już poczuć się jej członkiem!

Pozdrawiam całą „Rodzinkę".

„Czarodziejko" — bardzo lubię Twoje wierszyki. Może i dla mnie napiszesz kiedyś choć kruciutenki? Ślę Ci milutkie pa!

Również pozdrowienia dla: „Maruty", „Ady", „Wieszczki kwiatów", „Rozśpiewanej Izabelli"-„Marzycielki" i „Ciemnookiej Iry". Może któraś napisze do mnie?

Panu J. Baranowskiemu najszczersze uznanie za piękne wiersze.

No więc przyjęłam Cię — przedstawiłam wszystkim, a teraz posyłam Ci uśmiech wesoły i życzenie miłej korespondencji oraz proszę o adres.

WZAJEMNIE ZAPRASZAM!

„Samotna Włościanka". Ach, Droga Dziewczynko, jaka Ty jesteś serdeczna! Dziękuję Ci bardzo za ten kwiatek z Twego barwnego rabatu z ogródka i jeszcze bardziej za serdeczne zaproszenie na przyszłe lato! Przyrzec nie mogę Ci przyjazdu, ale... jak kiedy zdarzy mi się przejeżdżać przez Twoją wieś — omieszkam odwiedzić Cię, moja Dobra Dziewczynko! Postanowiłam sobie zapamiętać Twój adres — może rzeczywiście zobaczymy się kiedyś. W rewanżu zapraszam Cię tu do Żnina. Gdybyś przyjechała — oprowadzę Cię po Zakładach naszego Wydawnictwa, pokażę Ci nasze miasto i wypijemy wspólnie kawę w którejś z naszych sympatycznych kawiarń. Uprzedziłabyś mnie oczywiście o swoim przyjeździe, abym postarała się o trochę więcej czasu dla Ciebie — dobrze? Naprawdę chętnie porozmawiałabym z Tobą — taka jesteś ujmująca w swej serdeczności!

Życzę Ci dużo, bardzo dużo szczęścia i niecierpliwie oczekuję na następny list!!

Dopisek dla Sympatyczek i Sympatyków „Krainy":

„Czarodziejce" całuję buzię dużo razy.

„Ciemnockiej Wandzi" ślę moc pozdrowień!

Ponadto pozdrawiam „Dankę z Pomorza" i „Księżniczkę Linę".

Pana Cz. W. z Krakowa zapytuję o powód milczenia.

PROŚBĘ WYPEŁNIAM

„Zadumana Dusia". Nie, Dziecino! nie czyń mi takich nieumotywowanych wymówek — nie zapomniałam o Tobie i myślę, że się już sama postarasz, abym i nadal pamiętała. List Twój wysłałam na podany adres — winnaś była mieć już odpowiedź.

Owszem, prośbę Twą wypełniam — zawsze staram się, o ile to jest w mej mocy — wypełniać prośby członków „Rodzinki" oraz wszystkich innych sympatyków naszego tygodnika.

„Halo! „Krainiacy" — wyżej wymieniona dziewczynka zwraca się ze specjalną prośbą do tych wszystkich z Waszego grona, którzy mieszkają w pobliżu grudziądzkim, aby zechcieli nawiązać z nią korespondencję.

A może napisałby do mnie „Samotny Mieszczuch"? Bo tak, jak Pan czuje się samotnym w mieście, tak ja na wsi!

Zasyłam pozdrowienia dla „Samiuteńkiej" — może Pani napisze do mnie? Jestem również opuszczoną.

„Patachonowi" dziękuję za pozdrowienia i szczerze je odwzajemniam.

„Ado — Marzycielko", czy naprawdę lubi Pani korespondować z nieznajomymi? Może napisze Pani do mnie, ale piersza, bo ja nie mam odwagi rozpocząć.

Całą „Krainę" pozdrawiam serdecznie i czekam na odzew!

POSTARAM SIĘ

„Henry". Dziękuję Panu, „Henry", za pamięć: A wie Pan, co mnie ogromnie rozśmieszyło? Owo „buzi na rączkę" — jaka to zabawna forma pozdrowienia!

Postaram się powiedzieć miłe słówko o oTbie Wujkowi Januszowi, choć wątpię, aby to mogło wpłynąć na ocenę. W ocenie nadsyłanych nam rękopisów jesteśmy równie bezstronni i rzeczowi — nie uwzględniamy wówczas osobistych sympatyj i innych podobnych słabości.

Pozdrawiam b. serdecznie i proszę o liściki: „Czarnego Hajduczka" (któremu nawiasem zdradzam, że chętnie osobiście w Poznaniu porozmawiam) dalej, „Ziuteńkę" (z nr. 41), „Samotną Rusałkę", „Maleńką Liany", „Skośnooką Lolę", „Zofię z Gr." i „Izoldę ze Skoków", której nie zdążyłem na poste — rest. odpisać.

„Wirrycie"! Depesza — morowa!

Może i ktoś inny napisze, a wszystkim chcącym ze mną korespondować, podaję następ. adres: „Poste - restante" Poznań 1, dla okaziciela legitymacji U. P. nr. 27, imię Henryk K. Aha! „Zbijobruku poznański" — wiem już kim jesteś! Od czegoż zresztą mój pseudo „Fakir".

ZMIENIŁAM NIECO PSEUDONIM

„Miła Poznanianka". Pozwoliłam sobie przyjąć Panią do naszego grona pod nieco zmienionym pseudonimem. Tamten byłby mniej sympatyczny.

Wiem, proszę Pani, że życie nieraz jest pełne burz i udręk i wiem, że gorzko to człowiek znosi — ale wiem też, że trzeba czasem cicho przeczekać okres niesprzyjający, aby potem silnie uchwycić i odczuć zmianę losu na lepsze. Cieszę się, że Pani już zwolna zaczyna jaśniej się rozglądać wkoło siebie — jeszcze trochę dobrej myśli, a zadowolenie i szczęście samo może się zjawi.

Mnie również będzie miło częściej porozmawiać — zatem przyjemność obopólna! List dosłałam.

Pozdrawiam Panią i życzę miłej, wartościowej korespondencji.

CZEKAM!

„Marylka spod Wągrowca". Niełaska dlatego, że przez 3 tygodnie nie odpisałam Ci? Oj, Marylko — zdarza się, że „Krainiacy" czekają 2 do 3 mies. na odpowiedź.

Więc tak oswoiłaś gołębie, że jedzą Ci z ręki — ciekawe! Ja jakoś nie mogłam tego dokazać, gdy spędzając urlop na wsi — urządziłam sobie gołębią sielankę. Pewnie dlatego, że z natury jestem dość nerwowa i nie umiem zbyt długo wytrwać przy jednym, a takie oswajanie wymaga bądź co bądź masy cierpliwości.

No, no! Nie ma obawy, że znudzę się Twoim listem — umiesz pisać zajmująco. Czekam na ten przedługi list i posyłam uścisk dłoni!

OKAŻCIE SWĄ PRZYCHYLNOŚĆ!

„Samotny — Chorzów I." Przyjmuję Pana do grona naszej „Rodzinki" z serdecznym życzeniem, aby się Pan czuł w niej jak najlepiej!

Halo! Nowy nasz „Krajniak" jest emerytowanym adjunktem skarbowym. Wysoki, słuszny blondyn o niebieskich oczach i dużym polskim wąsie. Starszy już, ale zdrów i silny. Pragnie nawiązać miłą i poważną korespondencję z szeregiem „Krainiaków" — może napiszecie do niego pierwsi, okazując mu w ten sposób swą przychylność i serdeczne zainteresowanie.

Przyjmijcie od niego pozdrowienia i prześlijcie wzajemne.

Zasyłam Panu uścisk dłoni i siostrzany uśmiech.

P. S. Na życzenie informuję Pana, że roczniki „Moich Powieści" za rok 1936 i 37 kosztują po 1 zł a oprawa 2,60 zł.

POZDROWIENIA Z GDYNI!

„Zbłąkana Gwiazda" z nad polskiego morza, z Gdyni przesyła nam wszystkim i p. J. Baranowskiemu pozdrowienia serdeczne.

Wzajemnie życzymy Ci, Kochana, dużo wesołych chwil i prosimy, i nadal o niezapominanie o swych starych przyjaciołach!

Baw się dobrze i nie pozwól się spłukać chłodnym pod te czasy i niespokojnym falom.

JUŻ WKRÓTCE!

„Kresowiak z Leszna". Owszem, przyślij Pan swoje nowelki — przeglądnęłam na razie pobieżnie nowelkę Pana i zdaje mi się, że po uzupełnieniu dam ją do druku. Trzeba jednakże trochę poczekać — ostatnio wpłynęło materiału tak dużo, że nie mam czasu na „przerabianie" utworów, które nie są napisane bez zarzutu.

Wiersz Pana oddałam Wujkowi Januszowi do oceny — jeżeli wypadnie dodatnio, umieszczę w „Krainie".

Teczka Wujka Janusza

TO JESZCZE NIE DOWÓD...

„Melona". Wierszyk Pani — „Powiedz"... — oddaję do druku, jednakże z tym, że nie ustanie Pani w pracy, ale przeciwnie, odda jej się jeszcze więcej. Bo, oddając do druku wierszyk Pani, to jeszcze nie dowód, że tym samym udzielam Pani pełnomocnictwa do zrezygnowania z dalszych starań o rozwój swoich zdolności Nie, daję go jako zachętę do konsekwentnego dążenia naprzód, do osiągnięcia pełnych walorów twórczych. Sądzę, że Pani to należycie zrozumie i nie zawiedzie nadziei, jaką w Pani pokładam. Proszę przyjąć ode mnie dużo miłych pozdrowień!

POWIEDZ!...

Gdzie jesteś? powiedz! Gdzie się obracasz,
W jaką krainę twe myśli mkną...
Czy jeszcze z sercem moim się bratasz,
Powiedz — ja czekam słów twych ze łzą.

Powiedz, gdzie błądzisz w każdą noc ciemną...
Czy w duszy jeszcze masz ból i żal?...
Przecież pamiętasz, że byłeś ze mną —
A dziś przeznaczeń porwała nas dal.

Powiedz, czy jeszcze do nas powrócisz,
Wtulisz duszę, powstrzymiesz łzy,
Długą mą drogę cierpień ukrócisz?...
Ja próżno czekam już tyle dni...

Waleska K.

WIADOMOŚĆ UCIESZYŁA MNIE

„Blanka". Moja Droga Sympatyczko! Czyż można wątpić w to, co się wyczuwa pomiędzy wierszami każdej mej odpowiedzi? Nie chcę powtarzać się dzisiaj, „Blanko", więc: bądź zawsze pewna tego, co Ci się należy i doceniaj się!

Ucieszyła mnie wiadomość, że poznałaś „Czarnego Hajduczka". W zupełności podzielam Twój entuzjazm, bo i ja znam to miłe stworzonko. Dziękuję Wam, Moje Drogie, za pozdrowienia i oczywiście je odwzajemniam.

Komunikaty zamieszczam:

„Czarny Hajduczku", dziś jeszcze przeżywam minione już chwile. Kocham Cię, jak najmilszą siostrzyczkę. Dla Ciebie łączę pocałunki, a dla Twej Babci — ukłony.

„Iste — Wenus", tak nie można! Główka do góry! Nie trzeba rozpaczać, bo po burzy zawsze słonko świeci. Pamiętaj i bądź dobrej myśli. Jestem Ci bardzo życzliwa.

„Mała Mery", liścik odebrałam. Wkrótce dam odpowiedź!

„Biały Zwidzie", proszę przyjąć uznanie za wierszyki. Życzę Panu dalszego rozwoju talentu i ślę Panu pozdrowienia od „Czarnego Hajduczka".

WIERSZE CHAOTYCZNE I NIEZROZUMIAŁE

„Pelikan". Wiersze Pana posiadają niezwykle błyskotliwy styl, jednakże styl ten miejscami jest chaotyczny i zupełnie niezrozumiały dla czytelnika. Proszę pisać prościej, bez „karkołomnych" porównań i wysilań się na oryginalność. Jeżeli tak Pan uczyni, niewątpliwie dojdziemy w krótce do porozumienia!

WIERSZYKI ZAMIESZCZĘ

P. T. M. Mański. Historyjka o niefortunnym wydawcy i pomysłowym kupcu — ubawiła mnie szczerze i dała jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Bo zawsze przyjemnie dowiedzieć się w dzisiejszych czasach o szalonym powodzeniu poezyj i ich popularności, aniżeli jak się to mówi w potocznym języku, o żejściu rymowanych utworów na psy.

Za życzenia świąteczne — dziękuję Panu.

Wierszyki — morowe! Zamieszczę przy okazji!

ŻYCZĘ DUŻO NATCHNIENIA

„Wieszczka Kwiatów". Bardzo chętnie przychylę się do życzenia Pani, ale musi mi Pani nadesłać swój dokładny adres. Równocześnie życzę Pani dużo natchnienia do wierszyków i serdecznie pozdrawiam.

Raj kobiet

Ślub córki maharadży

Skala upodobań kobiecych z pewnością jest bogatsza od upodobań mężczyzn w stosunku do płci odmiennej. Zjawisko to można sobie tłumaczyć możliwością obsadzenia większej ilości zawodów przez mężczyznę niż przez kobietę.

Do londyńskiego urzędu stanu cywilnego zgłosiłą się w tych dniach córka maharadży Sawaraku, która jest Europejką, i złożyła podanie o udzielenie ślubu ze znanym angielskim sportowcem. Ojciec zagroził jej wprawdzie wydziedziczeniem w razie urzeczywistnienia projektu, lecz cóż znaczy majątek dla zakochanych. Tybardziej, że narzeczony Bob Gregory jest znanym na ringu bokserskim. Przed kilku tygodniami zdobył on w Pradze tytuł mistrza Europy w catch as catch can i pozyskał swym pięknym stylem sympatię publiczności.

Film, który niesie szczęście

Niedawno w czasie przedstawienia w wielkim cyrku paryskim Medrano spadł z trapezu i doznał niebezpiecznego zwichnięcia ręki słynny akrobata trapezowy Lalo Codona. Akrobata był ostatnim ze słynnej grupy akrobatycznej braci Codona znanej na całym świecie.

Prasa paryska przypomniała w związku z tym wypadkiem, że grupa akrobatów znana pod nazwą trio Codona oraz związana z nią akrobatka Liliana Leitzel brała udział w r. 1927 jako artyści w słynnym filmie niemieckim „Variété", gdzie w scenie przedstawienia cyrkowego dublowali rolę artystów Emila Janningsa, Lyi de Putti i Warwicka Warda.

W ciągu 10 lat, jakie upłynęły od chwili nakręcenia tego filmu, a w szczególności sceny tego filmu kończącej się tragiczną śmiercią jednego z artystów, Lya de Putti popełniła samobójstwo, Warwick Ward umarł. Jeden z braci Codona, Alfred uległszy wypadkowi, który uniemożliwił mu dalsze wykonywanie zawodu akrobaty, zastrzelił swą żonę i siebie. Trapezistka Liliana Leitzel zabiła się, spadłszy z trapezu w Kopenhadze. Obecnie zaś ostatni z grupy Codona, Lalo, wskutek niedawnego wypadku będzie musiał na zawsze pożegnać się z areną cyrkową.

Afera handlu kobietami

Niedawno władze śledcze wpadły na trop wielkiej afery handlu kobietami.

Aresztowano handlarza żywym towarem Izraela Śmietańskiego. Przestępcę przewieziono do Warszawy, gdzie poddano go przesłuchaniu. Śmietański przygotowywał w Krakowie transport kobiet do wysłania do Ameryki Południowej. Początkowo zapierał się wszystkiego i twierdził, że jest niewinny.

Wreszcie w krzeżowym ogniu pytań przestępca załamał się i wydał swoich wspólników, którymi byli Jan Karczewski, zam. w Otwocku oraz nigdzie nie meldowany Adolf Szymański.

Obaj przestępcy dzięki korzystnej powierzchowności zawierali na ulicach znajomości z młodymi bezrobotnymi kobietami. Nie pogardzali również służącymi.

Początkowo udawali zakochanych, a gdy udało się im nawiązać bliższe stosunki, zmuszali swe ofiary do nierządu. Ostatnio w szpony sutenerów wpadły dwie bezrobotne kobiety. Waleria Cielecka oraz Julianna Weichman.

Jest prawdopodobne, że aresztowani przestępcy mieli zaufanych ludzi w Gdyni i Gdańsku za pośrednictwem, których wywozili kobiety do Ameryki Południowej.

HIGIENA I ZDROWIE

Kaszel

Nie będziemy pisać o kaszlu przy chorobach ostrych z gorączką, jak influenza (grypa) albo zapalenie płuc.

Pomówimy o kaszlu, który występuje bez gorączki i innych ciężkich objawów. Taki uporczywy kaszel, trwający tygodniami i miesiącami przeszkadza w pracy i w śnie, ale czasem tak się człowiek do niego przyzwyczaja, że nie zwraca na niego uwagi. Tylko rodzina i przyjaciele pytają z niepokojem:

— Dlaczego ty tak ciągle kaszlesz?

A człowiek kaszlący odpowiada:

— O, to nic niebezpiecznego, ja tak zawsze pokaszluję.

A jednak warto zwrócić uwagę na taki kaszel, bo wskazuje on na to, że nie wszystko w organiźmie jest w porządku. A często kaszel może być początkowym objawem poważnej choroby.

Czasem — człowiek się przeziębi, ma katar nosa i ból gardła. Potem to ustępuje, a pozostaje kaszel męczący, głośny i uczucie drapania za mostkiem (z przodu i pośrodku klatki piersiowej).



b



V 33392 a



V33394 a

b

c

Wiadomym jest, że modne drobiazgi nadają kostiumom charakter prawdziwej wykwintnej elegancji. Takie naprzykład jasne, mile kołnierzyki, czy żaboty lub całe garniturki, składające się z kołnierzyka, żabotu i mankietów — doskonale odświeżają sukienki i dodają im wdzięku i subtelności.

Jeżeli do jakiejś ładnej ciemnej sukienki sprawimy sobie kilka takich garniturków, to możemy z powodzeniem nosić ją na różne okazje.

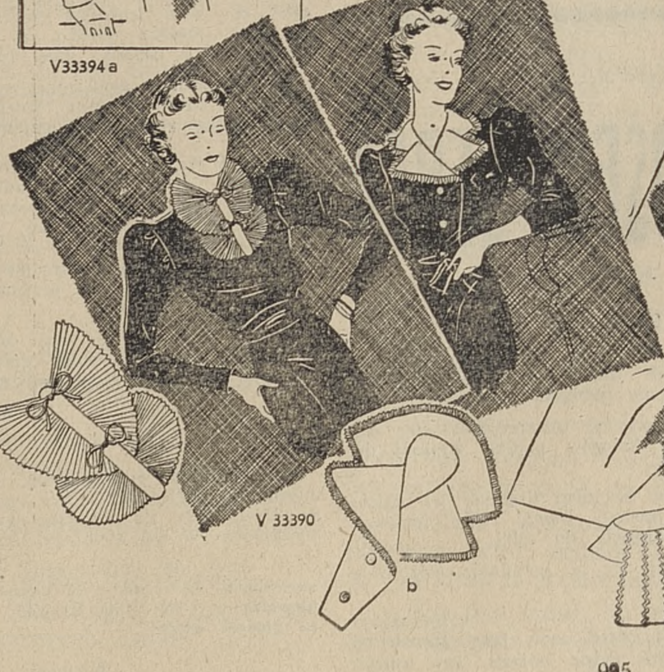
Mamy tu kilka ślicznych wzorów na takie, nie tylko miłe, ale nawet efektowne przybranie sukienek:

V 22292 a) Piękny kołnierzyk z batystu uzupełniony plisowaniem i miniaturową kamizeleczką, zapiętą na trzy guziki. b) Efektowny motyl, wykonany z jedwabiu lub koronki pięknie będzie wyglądał na czarnej toalecie z aksamitu.

V 22394 a, b, c) Proste, niepretensjonalne kołnierzyki z białej piki doskonale ubiorą i ożywią wełnianą sukienkę sportową.

V 33390 a) Bardzo wykwintny żabocik z plisowanego jedwabiu uchwycony prostym paskiem z tego samego materiału i ozdobiony dwiema delikatnymi kokardkami. b) Kołnierzyk z rewersami przybrany plisowaną ryszką.

V 3339 a) Wdzięczny kołnierzyczek z piki z żabotem uszytym w pięciu ząbkowanych części. b) Bardzo strojny kołnierz — żabot z wykwintnego jedwabiu — można nim przybrać elegancką suknię popołudniową.



V 33390

b



V 33391

b

Ludzie, którzy pracują w kurzu, pyle i dymie, a więc robotnicy zatrudnieni w fabrykach bawełny, wełny, albo przy przeróbce tytoniu, w kopalniach, dalej murarze, młynarze, piekarze — bardzo często kaszlą i odpluwają.

Palacze tytoniu, albo ludzie, którzy przebywają długo w lokalach zadymionych — także często kaszlą.

Nadużywanie alkoholu także sprzyja rozwojowi uporczywego kaszlu. Oddychanie przez usta, a nie przez nos, a więc wciąganie zimnego powietrza prosto do płuc — też przyczynia się do powstania chronicznego kaszlu. A więc jeżeli ktoś ma polipy, w nosie (adenoids) albo powiększone migdałki w gardle (tonsils), ten zwykle oddycha przez otwarte usta i w następstwie tego cierpi na kaszel.

Męczący i uporczywy kaszel mają nieraz ludzie, którzy dużo mówią: nauczyciele, mówcy albo śpiewacy. Zwykle mają oni prócz kaszlu chrypkę, czasem głos im się załamuje, albo nie mogą wydobyć ze siebie głosu.

Czasem kaszel występuje przy chorobach serca. Jest to kaszel głośny, ale zwykle niemęczący i nie ma przy nim uczucia drapania za mostkiem. Bardzo często kaszel jest wczesnym objawem gruźlicy płuc (suchot). Zwykle wtedy ludzie męczą się szybko, pocą się w nocy, czasem chudną. Gorączkę mają trochę podwyższoną wieczorem.

Ale jeżeli nawet kaszel pochodzi od papierosów, albo od alkoholu, albo od kurzu przy pracy — nie należy go lekceważyć. Wskazuje on, że gardło i drogi oddechowe nie są w porządku, a wtedy bardzo łatwo o zachorowanie na choroby płuc.

A więc starajmy się leczyć każdy kaszel.

I jak zawsze — najpierw szukajmy przyczyny i starajmy się ją usunąć. Człowiek, który pracuje w kurzu i pyle, a więc w fabryce przy przeróbce wełny, bawełny, tytoniu, w kopalni przy przeróbce kamieni, w piekarni lub młynie — po pracy powinien przebywać jak najwięcej na świeżym czystym powietrzu. Powinien często kontrolować swoje płuca, najlepiej fotografować Roentgenem (X-razy). Czasem nawet musi zmienić zawód, jeżeli jego płuca zaczną chorować. W niektórych fabrykach stosuje się specjalne maski ochronne przeciw pyłowi. Ta ochrona przy pracy ma bardzo wielkie znaczenie. Jeżeli ktoś oddycha przez usta, trzeba mu dobrze zbadać nos i gardło — może przyczyną tego są polipy albo przerośnięte migdałki — i wtedy trzeba się leczyć u specjalisty. Ale wielu jest ludzi, a zwłaszcza dzieci, które oddychają przez usta ze złego przyzwyczajenia.

Zwróćcie uwagę na wasze dzieci — by zawsze oddychały przez nos, inaczej mogą chorować na gardło, albo płuca.

Mówcy nauczyciele, śpiewacy powinni oszczędzać swój głos. Po pracy powinni mówić jak najmniej i to mówić cicho.

Zwłaszcza rozmowa na zimnie i wietrze bardzo jest szkodliwa dla dróg oddechowych.

Jeżeli nie widać żadnej wyraźnej przyczyny kaszlu — to najlepiej zrobić fotografię płuc Roentgenem (X-razy). Można w ten sposób wykryć początek gruźlicy (suchot) i zapobiec dalszemu jej rozwojowi.

Wszyscy ludzie, którzy kaszlą, powinni bezwzględnie wyrzec się tytoniu i alkoholu. To zawsze tylko pogarsza kaszel. Powinni nie mówić głośno i nie przebywać w kurzu.

Jeżeli gardło jest zaczerwienione, można je płukać dwa razy dziennie letnią wodą utlenioną (hydrogenium hyperoxydatum), łyżeczka na szklankę wody. Wtedy nie wolno jeść, ani pić nic gorącego ani zimnego tylko wszystko umiarkowanie letnie.

Ale jeżeli gardło nie jest zaczerwienione, a przy kaszlu jest uczucie drapania za mostkiem — dobrze jest pić dwa razy dziennie szklankę gorącego mleka z łyżką masła i łyżką miodu.

Zawsze jest dobrze wziąć 20 kropli olejku terpentynowego na szklankę gorącej wody, nachylić się nad tym i wdychać tę parę. Głowę i szklankę można przykryć ręcznikiem, żeby para się nie rozchodziła. Wdychać tak 15 minut wieczorem przed pójściem spać.

Ponadto należy oczywiście ubierać się ciepło i unikać przewiewów oraz przestrzegać podstawowych wymogów higieny.

Ze świata

Perły sprzed 150 milionów lat

W Bryzgawii i górach Szwabskich odnaleziono niedawno kilka pereł, których wiek dochodzi do astronomicznej cyfry 150 milionów lat. Jest to jedyny dotychczas wypadek.. Jak wiadomo, wszystkie najkosztowniejsze kamienie pochodzą z odległych okresów geologicznych, od których dzielą nas miliony lat. Perły były jedynym wyjątkiem, niepodlegającym temu prawu. Jako produkt organiczny, perła powstaje w ciągu kilku lat w muszli i trwałość jej może utrzymać się najwyżej przez 150 lat. Po tym okresie czasu perły tracą swój blask i kruszeją. Wprawdzie w grobach faraonów znajdowano perły sprzed 1.200, a nawet 3.000 lat. Są to jednak unikaty. Niekiedy znajdowano perły również w pokładach z okresu 3-ciorzędnego. Na wcześniejsze okazy dotychczas nie natrafiono. Perły, znalezione w Bryzgawii i górach Szwabskich są, mimo, że nie mając blasku — nie mogą służyć jako klejnot, bezcennym skarbem z dawnej o 150 milionów lat odległej od nas epoki, w której człowiek nie był jeszcze panem ziemi.

Niezwykły lot

Niedawno we Francji przystąpiono do ciekawego eksperymentu — zbadanie czy zmysł orientacyjny gołębia jest ograniczony na pewien tylko dystans. Z Saigonu, stolicy francuskich Indochin przywieziono gołębia pocztowego do Francji, do Arras i tam go wypuszczono. Cud się stał. Gołąb, wypuszczony dnia 15 sierpnia wrócił do Indii do Saigonu dnia 9 września. Przestrzeń więc 11.600 km przeleciał on w ciągu 25 dni i przypuszczać należy, iż leciał w prostym kierunku.

Przedtem jeszcze pewien gołąb ustalił swego rodzaju rekord, lecąc z Caracas, stolicy Venezueli, do Brooklynu. Co prawda przestrzeń, którą gołąb ten przeleciał, wynosiła tylko 3500 km, a jednak znaleźli się jeszcze ludzie, którzy twierdzili, iż nie wszystko było w zupełnym porządku i że gołąb ten większą część drogi swojej odbyć musiał na statku, który płynął w tym samym kierunku. Trudno coś pewnego ustalić, tym bardziej, iż nieufnych ludzi jest dużo.

Los wcześniaków

Szeroko rozpowszechniony pogląd, że dzieci przedwcześnie urodzone — są przeważnie pod względem fizycznym i umysłowym niedorozwinięte, nie znajduje w ostatnich doświadczeniach naukowych swego potwierdzenia. Nowoczesne metody pediatrii pozwalają na wychowanie noworodków przedwczesnych o wadze 1.000 a nawet 900 gramów. Wcześniaki, których waga leży poniżej tej granicy zwykle umierają. Śmiertelność wśród wcześniaków wynosi mimo wszystko dziś jeszcze 75 procent. 25 proc. dochodzi zazwyczaj do pełnego rozwoju, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym, dając często osobników nawet wysoko wartościowych. Od dłuższego czasu badaniem fizycznych i umysłowych właściwości wcześniaków zajmuje się prof. de Rudder we Frankfurcie n/M. Na zbadanych ostatnio 27 wcześniaków, których wiek w chwili badania wynosił od 6 do 17 lat, profesor stwierdził, u 22 zadawalający poziom przeciętny, a tylko u 5-ciu rozwój poniżej linii przeciętnej.

Wojenny przemysł niemiecki uaktywnia się rękami kobiet

Liczba pracujących kobiet w Niemczech wzrosła w latach 1932—1934 o 314.000 w latach 1934—1937 o 810.000. Ma to poważny związek z rozbudową przemysłu zbrojeniowego Trzeciej Rzeszy, bowiem kobiety zatrudnia się przeważnie w państwowych zakładach wytwórni broni.

JANINA GROMKÓWNA

ZA GŁOSEM SERCA

NOWELA.

(Dokończenie)

Przerwał, gdyż dłużej już mówić nie mógł, a wśród zgromadzonych niezmierna panowała cisza, tylko Ojciec Wincenty odmawiał modlitwy.

Zbigniew zjadł kolację w roztargnieniu i nie zapytany o nic przez kolegów prędko wyszedł do siebie.

Noc miał okropnie męczącą; dręczyły go ciągle zjawy i nie mógł zasnąć jeszcze, gdy pierwsze promienie słońca wtargnęły do celki.

Wstał i pomodliwszy się w porannej ciszy, wyruszył w drogę.

Co on teraz uczyni, gdzie pójdzie, czy wprost do matki? Tak, tylko przed tym wstąpi do Podchorzewskich.

Życie wrzało już w całej pełni w Podchorzowie. Zbigniew kroczył przez lasek, a potem sad, skracając sobie drogę, idzie wolno, a tu naprzeciw niego, jak motylek lekki, jak sarenka, biegnie do lasku Krzyśka. Zbigniew uniesiony tęsknotą do tej młodocianej duszyczki, do najświeższego pączka róży, do promiennej złotej jutrzenki, jak ją w myśli nazywał, idzie teraz śmiało, aby ta najdroższa mu istota nie zginęła, gdzieś za krzakiem bzu, ale, aby mógł ją zobaczyć zatrwożoną tak niespodzianym spotkaniem.

— Panno Krzyśko — zawołał z oddali uniesiony porywem miłości.

— Krzysiu, przyjmij i nie odpychaj mnie od siebie, ja pragnę być z tobą, najdroższa, zawsze przez całe życie, chcę być twoim do końca.

Nie pytaj, co mnie sprowadziło do ciebie, bo nic więcej tylko miłość, miłość tak wielka, że nie zawachałem się przed niczym.

Krzysiu, serce moje dawno Tobie oddałem, mój skarbie najdroższy, marzyłem o Tobie długo, wreszcie nadszedł kres męczarni, dziś mogę Ci powiedzieć wszystko, wszystko co czuje serce przepełnione ku Tobie miłością.

Młodzieniec tak się zapalał, że Krzyśka tym zaskoczona, nie mogła zrozumieć i wreszcie, gdy skończył, zapytała:

— Panie Zbigniewie, co pana sprowadziło o tak wczesnej porze do dworu?

— Krzyśko i ty się pytasz, pytasz teraz, gdy ja ci mówię, że rzuciłem wszystko, że nie będę księdzem, bo nie mógłbym nim być, poznawszy ciebie. Krzysiu, nie dręcz mnie dłużej, lecz powiedz, czy zgadzasz się zostać moją na zawsze?

Cichy, ledwie dosłyszany głosik odpowiedział:

— Zbyszku, ja o panu tak długo marzyłam.

— A więc zgadzasz się, najdroższa?

Młodzieniec nie czekając na odpowiedź, zamknął koralowe usteczka Krzyśki gorącym pocałunkiem.

— A teraz, różyczko, idziemy do rodziców, niech i oni wiedzą o naszym szczęściu, o tym, że Zbyszko kocha swoją Krzyśkę.

Podchorzewscy widząc radosne miny młodych, nie mogli zrozumieć, co mogłoby zajść pomiędzy nimi i z nietajoną radością przywitali Zbigniewa.

Po niedługiej chwili młodzieniec wyjaśniał.

— Na pewno nie domyślacie się państwo, co skłoniło mnie do złożenia wizyty w waszym domu, toteż najlepiej, gdy rzecz wyjaśnię od razu. Porzuciłem szkołę, nie będę już teraz księdzem, a jeśli pozwolicie, zostanę narzeczonym Krzyśki.

Wiadomość ta takie wywarła wrażenie na Podchorzewskich, że przez chwilę nie mogli przyjść do słowa, dopiero Krzyśka wybawiła ich z kłopotu.

— Najukochańsi rodzice, pozwólcie, aby Zbyszko został mi narzeczonym, on mnie tak kochał...

Na słowa córki pierwszy ochłonął pan Ksawery i zaprosił swego gościa do domu, gdzie wspólnie mówili o przyszłości młodych.

— Krzyśka — jak mówiła pani Zofia — pragnęła zwiedzić trochę zagranicy, więc nie chciałaby odmówić jej prośbie, a przy tym sama mam wielką ochotę wyjechać na krótki czas.

Postanowili więc, że Zbigniew przyjmie na czas wyjazdu Podchorzewskich rolę, nie tyle administratora, ile gospodarza w Podchorzowie.

* *
*

Mały, lecz czysty, modrzewiowy dworek stoi na wzgórzu.

Dawno utracił on swego właściciela, lecz nadal trwa w tym samym wzorowym porządku i widać od razu, że prowadzi go czyjaś wprawna, umiejętna ręka. Nic więc dziwnego, że choć późna już pora, w oknie migoce światło, a przy biurku siedzi niemłoda już kobieta, pani Jadwiga Orlińska.

Po załatwieniu całodziennej swej pr[illegible], przegląda otrzymane dziś dwa listy: jeden od [illegible]O. Franciszkanów, drugi od syna Zbigniewa, któr[illegible] pisze:

„... i czując, że nie zdołałbym zostać księdzem według Twych życzeń, Matuś, opuściłem Seminarium po 5-ciu latach nauki i wchodzę w życie, w ślady mego ojca, gdyż pragnę zostać gospodarzem, jakim był on. Mateczko, nie kładź winy na Krzyśkę i nie posądzaj, że ona była tego sprawczynią, ale przyjmij ją jako przyszłą żonę twego Zbyszka.

Wierzę w dobroć mej Matusi, i czuję, że nie będzie się na mnie gniewać, lecz zrozumie młode serce i pobłogosławi na przyszłe życie.

Twój syn Zbyszek.

Pani Jadwiga, przeczytawszy list, odłożyła go na biurko i pogrążyła się w zadumie... i dopiero po chwili usta jej przesłały słowa do ciągle przebywającego w jej wyobraźni Zbyszka:

— Abyś nie doznał nigdy przykrości, abyś żył szczęśliwie, — i jakby na usprawiedliwienie tego, że niewidzi w tym winy Krzyśki, dodała — poszedł za głosem serca!

Koniec

sze, bogate małżeństwo życzy sobie przyjąć w swój dom młodą, przystojną i wesołą dziewczynę w miejsce własnego dziecka. Lizia dała się prędko sfotografować i posłała tam swoją fotografię i list z prośbą o przyjęcie i tak się tam widać podobała, że ci państwo posłali jej zaraz pieniądze na podróż. Wyjechała też zaraz, a więc nic nie wiem, bo się jeszcze do mnie ani jedynym listem nie odezwała.

Ostatnie słowa wymawiała drżącym głosem i aby ukryć wzruszenie odeszła prędko do kuchni.

Wenereli opowiedziała swej teściowej zaraz dobrą nowinę o spadku, który dostała, a wiadomość ta uradowała biedną starowinę niezmiernie.

Ksawery niezadowolony był z kłamstwa Wenereli, gdyż nie miał on zamiaru okłamywać starej matki; był jednak nadto dobrotliwy, aby żonę swą zawstydzać sprostowaniem faktu.

Czas, który spędzała teraz w domu swej teściowej był najszczęśliwszy w całym życiu Wenereli. Była bowiem sierotą i nigdy miłości macierzyńskiej nie zaznała. To też gdy zobaczyła czułe przywitanie Ksawerego z matką, chwyciła ją zazdrość i obawa, że teraz ona będzie tu piątym kołem u wozu, że Ksawery ciesząc się matką, będzie ją zaniedbywał i że ta matka stanie między nią a Ksawerym i poróżni ich. Postanowiła więc skrócić swą wizytę u teściowej, jak prędko się tylko da.

Tymczasem stało się inaczej. Dobra, poczciwa staruszka nie tylko, że rozpływała się w czułościach dla swych wnucząt, na które patrzyła z bezgranicznym zachwytem, ale i dla synowej swej nie miała dość słów pochwały i otaczała ją prawdziwie macierzyńską troskliwością i miłością.

Wenereli była przyjemnie rozczarowana. Przeprosiła teściową w duchu i uczuła dla niej prawdziwą miłość.

— Jaka ona poczciwa — myślała Wenereli — i jak pięknie z jej strony, że ciągle Ksaweremu pokazuje, jaką on ma ładną i dobrą żonę!

Tak upłynęło pierwszych kilka dni szczęśliwie i mała rodzina, która się jak najswobodniej w ubogiej chatce urządziła, leżała właśnie w najlepszym śnie, gdy w pobliżu dał się słyszeć tętent koni i po chwili zatrzymał się wóz przed chatą.

Z woza wyskoczyła młoda dziewczyna i zapukawszy do okna zawołała:

— Niech mama otworzy! — To jestem ja, Liza!

— Jezus Maria, Józefie Święty! — zawołała staruszka przestraszona i zerwawszy się szybko z łóżka, narzuciła spódnicę, zaświeciła świecę i pobiegła do drzwi.

Gdy odsunęła rygiel, wsunęły się do chaty dwie postacie dziewczęce i uczyniły to tak spiesznie i trwożnie, jak gdyby za nimi ktoś gonił.

— To ty Lizo? — krzyknęła matka — czy cię to państwo nie chciało zatrzymać? A kto jest ta piękna panienka, która z tobą przyjechała?

— To jest moja zbawicielka! — rzekła Lizia. — Niech mama jej podziękuje, że ja jeszcze żyję i że teraz tu jestem.

Stara kobieta zdawała się nie pojmować tego.

— Jak to być może? — zawołała. — Co ci się złego stać mogło w domu tak bogatych i poczciwych ludzi?

Zawodowiec Karol Schäfer (Wiedeń) siedmiokrotny mistrz świata i dwukrotny mistrz olimpijski w jeździe figurowej na lodzie, Frances Claudet, jedna z najlepszych kanadyjskich łyżwiarek zawodowych, Maribel Vinson, dziewięciokrotna mistrzyni Ameryki, która otrzymała na Olimpiadzie piąte miejsce, oraz Guy Owen, mistrz Ameryki podczas pokazów jazdy w historycznych kostiumach w Madison Square Garden — Nowy Jork.



Tymczasem zbudził się i Ksawery i spojrzał na swą siostrę, zawołał zdziwiony:

— Jak ty wypiękniałaś, dziewczyno! Popatrz Wenereli, to jest moja siostra! Prawda, jak ona po pańsku wygląda?

Wenereli uśmiechnęła się do obu dziewcząt i powiedziała Ksaweremu, aby wstał i ustąpił Lizie miejsce obok niej.

— Muszą one obie być bardzo zmęczone — rzekła.

Staruszka dreptała niespokojnie po izbie, nie mogła jeszcze pojąć, co się stało.

— Przecież cię ci państwo mieli przyjąć za własne dziecko, Lizo! — rzekła znów, patrząc na córkę. — Czyś im może dała powód do niezadowolenia? To byłoby grzechem z twej strony!

— Grzechem było i to grzechem wołającym o pomstę do nieba! — zawołała Liza wzburzona — ale nie z mej strony, tylko ze strony tej okropnej kobiety, Schnorrowej! To wstyd, że jeszcze tacy ludzie są na świecie! Pomyślcie tylko, matko, Ksawery, że ona mnie chciała sprzedać! Kupczyć mną!

Ksawery zaklął dziko i zawołał:

— Czy ci się co złego stało, Lizo? Powiedz prawdę! Jeśli oni ci tym najmniejszą krzywdę wyrządzili, to ich wszystkich tam powystrzelam jak dziką zwierzynę. Gdzie moja strzelba, żono? — zapytał z ponurym błyskiem w oczach.

— W domu ją zostawiłeś — odpowiedziała Wenereli przestraszona.

— To dostanę inną! — zawołał znów Ksawery — z 10-ga dzieci dwoje nas tylko przy życiu zostało; i ja miałbym znieść ,aby dziewczyna, jedyna siostra moja, jedyna córka mojej matki, popadła w hańbę? Byłbym łotrem, gdybym to zniósł spokojnie. Mów Lizo, muszę wszystko wiedzieć!

— Nie irytuj się Ksawery, bo mnie się jeszcze nic nie stało — uspokoiła go Liza i zaczęła opowiadać mu swoje przejścia u pani Schnorr, potem opisała swoją ucieczkę, pomoc Matyldy i tego obcego pana i zakończyła trwożnie:

Tu nie możemy zostać, bo jak nas Schnorrowa wykryje, to biada nam!

— Co? — krzyknął Ksawery — ona powinna cicho siedzieć i być szczęśliwą, że nie idzie za to do kryminału!

— Tak pan mówi, bo pan jej nie zna — rzekła Matylda — ale jakby pan wiedział, jaka ona przebiegła i wyrafinowana i jakich zręcznych ma pomocników, to by pan inaczej śpiewał. Nie mamy żadnych dowodów przeciwko niej!

— Pan nie zna pani Schnorr, ona jest przygotowana na wszystkie ewentualności i na życzenie może panu sprowadzić bardzo porządnie wyglądające małżeństwo, które poświadczy, że rzeczywiście miało zamiar adoptowania przybranej córki!

— Czyż są na świecie tak podli ludzie, którzy świadczą fałszywie, aby pomóc takiej nędznej babie? — zapytał Ksawery zdziwiony.

— Niestety są — rzekła Matylda z westchnieniem — bo gdyby nie było, to pani Schnorr nie byłaby w stanie zamydlać policji oczu przez tak długi czas.

Matka Lizy usiadła na łóżko. Była do głębi przerażona niebezpieczeństwem, które córce jej groziło i złożywszy ręce jakby do modlitwy, mruknęła:

— Dziękuję ci Boże, żeś mi uratował dziecko!

Potem zamilkła, słuchając jak się Ksawery oburza i odgraża. Wreszcie rzekła cicho i spokojnie:

— Moje kochane dziecko! Tu nie możesz teraz zostać, bo gdy się we wsi dowiedzą w jakich rękach byłaś, to cię wezmą na języki i nie uwierzą w twoją niewinność, chociażbyś była biała jak anioł. Dziewczyna zaś, która swój honor straciła, jest najbiedniejszą istotą na całym świecie. Kobiety nią pogardzają, a mężczyźni jej się narzucają. Ja, twoja matka, chcę cię przed tym ochronić, o ile słabe siły moje na to pozwolą!

— Jak mama to myśli zrobić? — zapytała Liza.

— Samabym nie podołała — rzekła starowina — ale Ksawer ci pomoże! Jest on dobrym chłopcem i siostry swej w biedzie nie opuści!

— Niechby mnie Bóg skarał, jakbym to miał nie uczynić — rzekł Ksawer gorąco. — Niech mama tylko każe coś nam zrobić, a zrobię zaraz, tej nocy jeszcze!

— Niech cię Bóg ma w swej opiece — rzekła staruszka, patrząc na syna swego z macierzyńską dumą.

Wenereli zmarszczyła brwi obrażona, że na nią nie zwracają uwagę, ale teściowa schlebiała obrażonej jej próżności, mówiąc:



Nowy olbrzymi czteromotorowiec „Condor“ skonstruowano dla niemieckiej Lufthanzy. Zdjęcie przedstawia przedział dla palących — steward obsługuje gości.

— Wiedziałam zaraz, że mogę na was liczyć i że dobra, poczciwa Wereneli nie będzie przeciwna temu, aby Ksawer siostrze swej pomógł. Tak jest Lizo, Wereneli jest taka kobieta, że to daleko trzeba szukać, a nie znajdzie się lepszej. Każda niewiasta mogłaby sobie z niej przykład brać! Prawda, moja Wereneli, że się zajmiesz Lizą?

— Zrobię wszystko, co mama zechce — odpowiedziała młoda kobieta — proszę tylko powiedzieć, co sobie mama życzy!

— Moje kochane dzieci — rzekła znów staruszka — daleko stąd, w Saksonii, jest bardzo dobre miejsce kąpielowe Elmen, gdzie się zjeżdżają ludzie z całego świata. Niejeden już przyjechał chory i odjechał zupełnie zdrów. I wy powinniście tam pojechać!

— Kiedy my całkiem zdrowi! — zawołał Ksawer — po co nam tam jechać?

— Ja też nie myślę, abyście tam jechali na kurację — odpowiedziała matka — tylko abyście tam znaleźli jakie dobre zajęcie dla siebie. Znajomy nasz, Amrei, ma tam folwark, który bardzo dużo mu przynosi, ale on tęskni okropnie za naszymi górami i chce koniecznie tu wrócić.

Pisał tu niedawno, pytając się, czyby mu z tutejszych kto tego nie odkupił i że on by nie chciał tego odstąpić obcym ludziom. Może by więc Ksawer ten folwark odkupił? Jedź i oglądnij tę rzecz. Ja, choć stara, jestem jeszcze rzeźwa i potrafię doglądać stajni i obory. Liza także potrafi tęgo pracować, tak, aby nie trzeba było obcej dziewki, a ta panienka (tu wskazała na Matyldę) obsługiwałaby gości przychodzących na mleko lub żętycę.

Tak byłoby dla nas wszystkich zajęcie, a Wereneli nie miałaby nic do czynienia, tylko zabierać co wieczora pieniądze w ciągu dnia zarobione!

Wereneli uśmiechnęła się zadowolona. Plan ten wcale jej się podobał. Niechby szwagrowa i teściowa pracowały, ona sama dość się już w życiu napracowała i nabiedowała, może więc teraz już wypocząć!

— Mama bardzo dobrze radzi — rzekła do męża Wereneli — możebyś zaraz jutro pojechał do Elmen, Ksawer?

— Oho, tylko się tak nie śpiesz! — mruknął Ksawery — trzeba tę rzecz jeszcze przespać!

Ale Wenereli nie miała już spokoju. Myśl, że będzie właścicielką pięknego folwarku była aż nadto kusząca i zwodnicza i napełniła ją dumą i radością.

Wstała prędko z łóżka, zrobiła sama kawę dla przybyłych świeżo dziewcząt, żałując, że nie ma już więcej babki. Była w ogóle tak miłą i serdeczną, że Liza i Matylda były nią zachwycone.

Podczas, gdy kobiety bez ustanku gadały, Ksawery przewracał się po swoim łożu nie mogąc oka zamknąć. Troska o przyszłość nie dawała mu spokoju.

Po głębszym namyśle uznał on, że niemożliwe by dla niego było osiąść w wiosce rodzinnej, bo to było za blisko okolicy z której uciekał.

Nie był on bardzo bystry i przebiegły, ale mimo to wykombinował, że jeśli tych 6.000 złr, które w worku grochu znalazł, były własnością Ilony, to ona nie spocznie, dopóki swoich pieniędzy nie odbierze. Nie był on bardzo skrupulatny, myślał więc:

Nie skradłem tych pieniędzy, a worek grochu zarobiłem sobie rzetelnie. Com winien, że pieniądze w tym worku znalazłem? Oddać, nie oddam. Mnie one więcej są potrzebne niż Cygance, która je z pewnością gdzieś ukradła. Dość długo klepaliśmy biedę. I my możemy zaznać trochę dobrego życia i wygody! Stara matka ma słuszność. Bez zajęcia nie mogę żyć, bom jeszcze młody i silny, gdy szybciej się do czegoś wezmę, tym lepiej!

Postanowił więc Ksawery wybrać się nazajutrz rano do Elmen, aby oglądnąć folwark i kupić go bezzwłocznie, gdyby się interes okazał dobrym. Wzbudziła się w nim tylko jedna wątpliwość.

— Matko — zapytał nagle — mówicie, że w Elmen gór nie ma, ale czy jest tam jaka dziczyzna? Bo ja nie mógłbym żyć bez tego, aby od czasu do czasu nie postrzelać sobie trochę!

— Tego nie wiem — odpowiedziała staruszka z wahaniem — najlepiej będzie jak pojedziesz i sam naocznie się o wszystkim przekonasz i wypytasz. Jesteś mądry i nie dasz się oszukać!

Pochwała ta schlebiała dobrodusznemu Ksaweremu. Kochał on swą matkę i skoro tylko do pieniędzy przyszedł, przypomniał ją sobie, czując instynktownie błogosławieństwo miłości macierzyńskiej.

I rzeczywiście, instynkt miłości macierzyńskiej kierował tą prostą kobietą z ludu, że umiała dla syna swego wynaleźć to, czego mu właśnie było potrzeba. Jej mądra rada otworzyła Ksaweremu karierę, jakiejby nigdy bez niej nie był obrał. Im dłużej on sam nad tym myślał, tym stosowniejszym mu się wydawał ten projekt. Przerywał często rozmowę kobiet pytaniami, na które mu matka zawsze rozsądnie odpowiadała.

Zaczęło już dnieć, gdy wszyscy w chacie zasnęli na nowo.

Pierwsza zbudziła się znów stara matka, ubrała się po cichu i pochyliwszy się nad śpiącą córką, zrobiła nad nią znak krzyża.

— Jesteś jeszcze czystą i dobrą, moje dziecko — szepnęła, a moją troską już będzie, abyś nią i nadal została!

Patrzyła jeszcze tak przez chwilę z bezgraniczną miłością na piękną twarz Lizy, a potem odwróciła się i wyszła pospiesznie, aby przygotować wszystko do śniadania.

Niedługo potem wstał Ksawery i posiliwszy się wyszedł do wsi, aby się dowiedzieć, jaką się drogą wybrać do Elmen.

Po kilku godzinach wrócił podniecony i z progu już krzyknął:

Dziś jeszcze jadę do Elmen, bo po wszystkim, com słyszał, to interes dobry!

— Bardzo się tym cieszę — rzekła pierwsza starowina — ale ja myślę, że byłoby lepiej, jakby cię Wereneli odprowadziła, bo dwie pary oczu widzą lepiej niż jedna!

— Zgoda! — zawołał ex-kłusownik — zbieraj się Wenereli!

Wereneli paliła się do tej jazdy, ale uważała za stosowne dać się jeszcze trochę prosić i udawać, że nie chce teściowej zostawić całego ciężaru doglądania dzieci, mimo, że nie bardzo się o nie sama troszczyła i że staruszka i tak wnuczętami zajmowała się gorąco.

— Ale nie gadaj — odpowiedział jej Ksawery — mama i tak chętnie to robi. Zbieraj się prędko, bo nie ma wiele czasu do stracenia; pociąg niezadługo odchodzi. Jeśli zaś nie masz chęci, to powiedz otwarcie, bo zmuszać cię nie chcę!

— Jeśli koniecznie chcesz, to pojadę! — oświadczyła Wenereli, udając, że tylko usilnym jego prośbom czyni zadość i nie dając mu nawet czasu na odpowiedź, włożyła prędko nową swą suknię, pożegnała się śpiesznie z rodziną, ucałowała dzieci i obiecawszy, że im wszystkim coś ładnego z drogi przywiezie, wyszła z Ksawerym.

Chód jej był tak lekki i sprężysty, jakby była inną od tej Wenereli, która wychodziła z Petershagen. Szczęście podziałało na nią uzdrawiająco!

Po dość nużącej podróży, przybyli państwo Ksawerowie nareszcie do pięknego Elmen, leżącego o kilka stacyj za Magdeburgiem.

Amrei, właściciel tego folwarku na sprzedaż, przyjął ich zrazu bardzo chłodno i stajał dopiero na widok pełnej sakwy Ksawerego.

Pokazał im piękny domek od piwnic aż do strychu; oprowadził po pięknych stajniach, w których stało 40 sztuk tęgich mlecznych krów, i po mleczarniach, gdzie się wyrabiało ser i masło, a wreszcie pokazawszy im cały swój dobytek, zawołał triumfująco:

— A na tym wszystkim nie mam ani centa długu!

— Ile morgów łąk macie? — spytał Ksawery zainteresowany — czy one wszystkie do was należą?

— Nie, wydzierżawiam je tylko, odparł Amrei.

Podczas, gdy on dawał swemu gościowi wyjaśnienia co do ziemi i warunków dzierżawy, Wenereli rozmawiała z jego żoną o służbie, chowie bydła, gospodarstwie mlecznym i wychowaniu dzieci.

Mądra Wenereli nie zdradzała się z dawnym swym ubóstwem. Musztrowała dziewki okiem znawczyni i układała sobie już w duchu, że połowę by ich odprawiła, a w miejsce ich teściowa, szwagierka i Matylda porządnie by pracować musiały. Niech zarabiają na chleb, który zjedzą — dodała w myśli.

Aby się nie spieszyć, zostali oboje jeszcze kilka dni w Elmen, nadzorując dojenia krów w stajni, pertraktując w mleczarni o odbyt tych produktów. Gości kąpielowych jeszcze w Elmen nie było, ale mimo to ruch był dość duży. Po długim targowaniu zgodzili się wreszcie, a Ksaweremu zostało po zapłaceniu jeszcze przeszło 100 reńskich.

Zostawił żonę swą już w Elmen, a sam pojechał po resztę rodziny.

Matka Ksawerego wyszukała tymczasem kupca na swoją chatkę. Nie dostała za nią wprawdzie wiele więcej niż wynosiła wartość gruntu, ale i to wydawało jej się ogromnym majątkiem. Zamierzała tę sumę złożyć jako posag Lizy.

Matylda wyjechała z całą rodziną Ksawerego do Elmen i odetchnęła lżej na myśl, że się oddala od Wiednia.

Dom Ksawerego jaśniał szczęściem i błogosławieństwem, a stara matka była dobrym ich duchem i umiała rozsądkiem i dobrocią utrzymywać zgodę i rozpraszać gromadzące się chmury.

Nawet Wenereli uznawała z wdzięcznością mądrość, łagodność i zaparcie się starej kobiety, która właśnie dla siebie niczego nie pragnęła, a szczęścia i zadowolenia szukała tylko w szczęściu swych dzieci.

ROZDZIAŁ CCXX XI.

Pan Hai serio zaniepokojony inseratem

W aptece pod „Złotym Aniołem“ panowała ponura cisza, jaką się zachowuje w domu, w którym ktoś leży ciężko chory.

Pani Hai zmizerniała; choroba syna dotknęła ją ciężko.

Z początku miała jeszcze nadzieję, że Ida wróci, wyczytawszy w anonsie zachętę do powrotu i obietnicę przebaczenia.

Za każdym pociągnięciem dzwonka w przedpokoju wybiegała pani Hai do drzwi w przypuszczeniu, że to Ida i zawsze wracała rozczarowana.



Przed 25 laty wybuchło w Albanii powstanie, które zrzuciło władzę turecką i oświadczeniem z 28. 11. 1912 wyraziło swą niezawisłość i samodzielność. Na zdjęciu widać część stolicy Tirana, rezydencji króla Achmeda Zogu I.

W tym samym czasie zaś Ida była w Petershagen i nie dostała nawet do rąk gazety z inseratem. Ale nawet gdyby go była przeczytała, nie byłaby uwierzyła, że pani Hai zrobi pierwszy krok do zgody.

I Bernard oczekiwał Idy z niecierpliwością, bo chciał jej jak najprędzej donieść zdradzoną przez Teobalda w gorączce tajemnicę i radzić jej, aby zrobiła z niej użytek.

Lecz gdy piękna Ida nie dawała znaku życia o sobie, postanowił prowizor działać na własną rękę i udał się w tym celu do swego dawnego kolegi szkolnego, który niedawno otworzył kancelarię adwokacką i znany już był jako zdolny prawnik.

Wybrawszy się do niego w wolnym czasie opowiedział mu całą tę zawikłaną sprawę, jak tylko mógł najdokładniej.

Eisenhart — bo tak się nazywał młody adwokat, o którym mowa — wysłuchał przyjaciela swego uważnie, a potem rzekł:

— Przede wszystkim musimy wynaleźć miejsce pobytu owej młodej damy. Jeżeli chcesz, to mogę zaraz jutro dać do wszystkich wiele czytanych gazet inserat, wzywający ją do podania mi swego adresu.

— Uczyń to z łaski swojej — rzekł Bernard — a jakby się zgłosiła, to daj mi zaraz znać. Jeśliby się zaś stary Hai u ciebie dowiadywał, co cię spowodowało do szukania jego przybranej córki, to nie wspominaj mu nic o mnie, bo on by użył wszystkich sił, aby pokrzyżować moje plany. On nie śmie przeczuwać, że to ja jestem jego przeciwnikiem, byłoby źle ze mną!

— Mówisz tak jakby ten Hai był co najmniej jakim skrytobójcą — przerwał mu Eisenhart — i zapominasz, jaki on jest w całym Wiedniu poważany i lubiany!

— Stary druhu, nie zapominaj ty znów, że nie wszystko złoto co się świeci i że pozory często mylą! — zaśmiał się Bernard. — Wierzaj mi, że bardzo ważne powody skłaniają mię do tego, aby prosić cię o tajemnicę przed nim.

— Możesz liczyć na moją dyskrecję — zapewniał młody adwokat, ściskając mu serdecznie rękę. Potem otworzył swój notatnik, wziął ołówek do ręki i rzekł:

— Pozwolisz teraz, że zapytam cię o niektóre szczegóły. W którym roku umarł Steinert?

Bernard zamyślił się i pokiwał głową.

— Niestety, nie mogę ci na to dokładnie odpowiedzieć — rzekł po chwili — przypuszczam jednak, że Hai kupił swoją aptekę właśnie w tym samym roku, w którym biedny Steinert umarł i że stary Spiller, dawny ścisły przyjaciel Haia, będzie mnie co do tego mógł poinformować.

— Więc pomów z nim o tym jak najprędzej — radził Eisenhart — jak się nazywa kolektor, u którego Steinert kupił ten los?

— Teobald wymienił nazwisko jego w gorączce — odpowiedział Bernard — nazywa się Rothkehl.

— Co do mieszkania jego będzie się łatwo dowiedzieć — mruknął adwokat — wystarczy przeszukać listę kolektorów saksońskich.

— A jeżeli ten człowiek tymczasem umarł? — zapytał Bernard.

— To zawsze jeszcze ze starych list i książek będzie można dojść prawdy i stwierdzić, czy los przez Steinerta kupiony wygrał i czy ta wygrana po śmierci Steinerta przez kogo innego została podjęta.

— Ale, jeśli to nawet będzie stwierdzone, to przecież jeszcze nie będzie można Haiowi dowieść, że on sobie ten los nieprawnie przywłaszczył! — rzekł prowizor. — Ten człowiek jest tak chytry jak lis, i zabezpieczył się już pewno tak, aby się w razie odkrycia mieć czym wykazać.

— To możliwe — odpowiedział Eisenhart — ale i najchytrzej i najbardziej wyrafinowanie obmyślona zbrodnia, ma przecież swój słaby punkt, tak zwaną piętę achilesową i za tę właśnie spodziewam się złapać przebiegłego Haia.

— Przypuszczam, że on się przyzna, że los ten posiadał — rzekł Bernard — ale będzie pewnie utrzymywał, że go nabył prawnie.

— Mówisz, że Hai nie miał żadnego majątku i że jeszcze jako żonaty człowiek był prowizorem w aptece pod „Złotym Aniołem“? — pytał Eisenhart dalej.

— Tak było — potwierdził Bernard — a pani Hai wynajmowała umeblowane pokoje, tak zwane „chembres garnies“, aby powiększyć trochę szczupłe dochody męża. Cały świat był zdziwiony, gdy Hai nagle kupił aptekę, było to nawet dla najbliższych jego znajomych wielką niespodzianką.

— Hm — mruknął adwokat — i napisawszy coś prędko na ćwiartce papieru podał ją swemu przyjacielowi.

„Wzywa się pannę Idę Steinert, córkę zmarłego dysponenta Steinerta i jego żony Leokadii, ur. Dumarais, aby się zgłosiła w biurze adwokata Eisenharta, Graben 17, gdzie na nią czekają ważne wiadomości.“

— Dobrze — rzekł Bernard po przeczytaniu, skinąwszy głową z zadowoleniem. — Trzeba tylko, aby się ten inserat dostał do wszystkich możliwych gazet i aby tym sposobem doszedł do wiadomości panny Steinert. Będą to dość znaczne koszta, pozwól więc wręczyć sobie na początek małą sumę na pokrycie wydatków.

To rzekłszy, wyjął z portmonetki małą paczkę banknotów i wręczył ją swemu dawnemu koledze.

Ten zaś przeliczył ją dokładnie i dawszy Bernardowi kwit na otrzymaną kwotę, wpisał ją do książek.

Prowizor powrócił szybko do apteki pod „Złotym Aniołem“.

Tam odegrała się następująca scena:

Pani Hai, która była wzorem czystości i porządku i u której wszystko musiało lśnić i błyszczeć, uznała, że nie podoła dłużej bez pomocy. Nigdy jeszcze nie brakowało jej pracowitych i zręcznych rąk Idy tak, jak właśnie teraz! Czuła, że Ida ze swoją łagodnością i cierpliwością byłaby wprost nieocenioną u łoża Teobalda. Była więc zmuszoną starać się o jakąś obcą osobę, któraby jej w pielęgnowaniu syna była pomocną i kilka kobiet już się nawet zgłosiło, ale żadna jakoś się jej nie podobała.

Jedna miała bardzo czerwony nos i pani Hai podejrzewała ją o to, że zanadto zagląda do flaszki.

Druga znów wyglądała blado i słabowito i była obawa, że nie podoła tak trudnemu zadaniu.

Trzecia zaś była zdrowa i przystojna, ale tę znów obawiała się pani Hai przyjąć, by nie pozawracała panom w domu głowy.

Tak więc pani aptekarzowa nie mogła sobie żadnej pomocy dobrać, dopóki nie zgłosiła się nowa pretendentka, panna Augusta Stölzel.

Przypadła ona pani Hai zaraz do smaku; raz, że była skromnie i czyto ubrana, a po drugie, że była niesłychanie brzydka. Był to ten rodzaj brzydoty, którą żadne sztuczki toaletowe ulagodzić nie potrafią.

— Gdzie Augusta dotychczas pracowała? — spytała pani Hai uprzejmie.

— Czy pozwoli mi pani dobrodziejka być szczerą i nie weźmie mi tego za złe? — zapytała panna Stölzel z przesadną pokorą. — Byłam przez wiele lat w sanatorium doktora Silasa jako dozorczyni i jeżeli pani dobrodziejka pozwoli, to opowiem całkiem dokładnie, dlaczego stamtąd musiałam odejść.

— Proszę spokojnie dalej mówić — zachęcała ją pani Hai, która poza tą długą przemową przypuszczała jakąś pikantną historyjkę, a była wielką przyjaciółką tego rodzaju skandalicznych ploteczek.

Panna Stölzel chrząknęła tedy i zaczęła:

Więc za pozwoleniem pani dobrodziejki, raz jeszcze proszę o przebaczenie, że śmiem poruszać takie sprawy w pobożnym, chrześcijańskim domu. Mam to sobie jednak za obowiązek opowiedzieć wielmożnej pani całą nagą prawdę, gdyby ona nawet grzeszyła trochę przeciwko przyzwoitości.

Tu Augusta zatrzymała się w cnotliwym zaambarasowaniu, a pauzę tę wykorzystał pan Hai senior, który widocznie pode drzwiami podsłuchiwał, aby wejść do pokoju, w którym rozmawiały obie niewiasty.

— Niech się Augusta nie wstydzi — rzekła pani Hai — ten pan jest moim mężem i ma prawo znać wszystkie moje tajemnice, bo między chrześcijańskim małżeństwem nie śmią być żadne sekrety!

Mówiąc to, rzuciła pani aptekarzowa mężowi swemu piorunujące spojrzenie, ale pan Hai zdawał się nie rozumieć szyderstwa leżącego w jej słowach, bo odezwał się pobożnie:

— Moja kochana Selmo, błogosławioną będziesz, bo trzymasz się przykazań Boskich!

Potem zwrócił się do panny Stölzel i wezwał ją uprzejmie, aby mówiła dalej.

Panna Augusta zrobiła zawstydzoną minkę i zawracając okropnie oczyma, ozwała się:

Jak pięknie i budująco rzekł pan aptekarz: „błogosławieni ci, co się trzymają przykazań Boskich“. Ale niestety, w sanatorium pana doktora Silasa nie trzymają się tych przykazań Boskich. Zarządczynią tego zakładu jest niejaka pani Willemer i ona tam główną gra rolę. Wstydzę się wprost opowiadać, co ona tam wyprawia i boję się, aby się pani dobrodziejka zanadto nie zgorszyła, gdy opiszę podły jej charakter. Czy wolno mi w ogóle mówić w obecności wielmożnej pani o kobiecie, która uciekła od swego męża i rozwiodła się z nim?

Popatrzyła na panią Hai błagalnie, jak gdyby prosząc o przebaczenie i jak gdyby ona była młodziutkim dziewczęciem, wobec którego trzeba się liczyć z każdym słowem.

Pani Hai czuła się bardzo pochlebiona, ale małżonek jej nazwał w duchu zachowanie się panny Stölzel bardzo przewrotnym.

— Tam musi być ładne gospodarstwo w tym sanatorium! — zawołała szyderczo pani Hai — piękny zakład, w którym taka rozwódka rej wodzi! Czy ona jeszcze bardzo młoda?

— To trudno poznać — odpowiedziała dozorczyni — bo pani Willemer używa tylu środków upiększających, że trudno rozróżnić co prawdziwe, a co dodane. Była zawsze umalowana, jak jaka aktorka, aż wstydzę się nawet wspominać.

Chrząknęła po raz drugi i rzuciła znów na panią Hai wieloznaczące spojrzenie. Pan Hai zaś stłumiwszy lubieżny uśmiech, zbudował obie swe towarzyszki nowym cytatem biblijnym.

— Pani dobrodziejka pojmie — zaczęła znów Augusta — że nie mogłam dalej żyć pod jednym dachem z tą niegodziwą Willemerką. Jestem bowiem na wskroś porządną i uczciwą osobą. (Musiała się sama chwalić, bo nikt inny nie byłby tego uczynił). Proszę sobie przedstawić moje położenie, gdym się codziennie musiała przypatrywać, jak ta przebiegła kobieta zastawiała sieci na biednego, niewinnego doktorka. Doprawdy, żal mi go było! Powiedziałam otwarcie co myślę, pokłóciłam się dlatego z zacną zarządczynią i opuściłam sanatorium. Od tego czasu miałam zajęcie po prywatnych domach, a niedawno miałam zaszczyt pielęgnować księcia Piotra Petöfiego, gdy go zraniono w pojedynku.

— Aha, w pojedynku z kuzynem, z tym rudym Petöfim — dorzucił aptekarz.

Panna Augusta mrugnęła oczyma, aby dać poznać, że jest tak, jak pan Hai utrzymuje, ale że ona za dyskretna, aby to słowami potwierdzić. Okoliczność, że była dozorczynią księcia, zaimponowała mocno tak panu jak i pani Hai i oboje gotowi byli ją przyjąć.

Panna Stölzel nakłamała jeszcze co wlazło, potem zgodzono się co do warunków i dozorczyni została zaraz w aptece pod „Złotym Aniołem“ i zaczęła wykonywać swój urząd.

Gdy Bernard wróciwszy od Eisenharta, wszedł do pokoju chorego z flaszką medycyny, którą sam sporządził, zastał tam już cnotliwą Augustę, siedzącą obok łoża Teobalda.

Bernard był młody i przystojny, to też Augusta rzuciła mu zaraz czułe spojrzenie, bo mimo cnotliwości, lubiła flirty. Zerknęła więc do lustra, aby się przekonać, czy dobrze wygląda, dygnęła głęboko i rzekła:

— Pewno brat mego pacjenta?

— Nie — odpowiedział prowizor krótko i oschle.

Augusta poprawiła kołdrę na chorym i chciała znów nawiązać konwersację, ale Bernard odwrócił się i wyszedł nie popatrzywszy nawet na nią.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KWADRAT MAGICZNY

pod „Eros“.

. A . K . D .
A . A . P . K
. A . R . P .
K . R . N . R
. P . N . Ż .
D . P . Ż . M
. K . R . M .

SZARADA

Gdy w mroczną — cztery — dostaniesz się
Opadną różne wizje Cię,
I bojąco Cię nastroją;
Bo — raz — się zwykle kryje tam,
I wiele krzywd wyrządza nam,
Też 1/2 4 3 — moc niepokoju;
Całość to rzecz pełna uroku
Wyjątkowo ładna tego roku.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia 15 grudnia br.

Rozwiązania zadań z nr. 38 „Moich Powieści“:

Przesuwanka: „Najwyższy heroizm ducha, to walka co nie wybucha, praca bez wieńca“.
A. Asnyk.

Szarada: „Zima nadchodzi“.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Jan Słomiński — Gdynia, Gac Roman — Poznań, Graczyk Władysław — Toruń, Michaliński Seweryn — Brodnica, Grudziński Zygmunt — Poznań i Jurkowski Marian — Kępno.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Michalskiemu z Brodnicy i Słomińskiemu z Gdyni.

ADAM CZEKALSKI

11)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Za to nagroda cię nie minie, chłopcze — mówił przewodniczący. — Za cenę twojego udziału w spadku, o który podjęliśmy walkę, możesz sobie kupić miłość niejednej kobiety i to daleko piękniejszej od tej, którą rada nakazała ci poślubić. Wszystkie domy brahmińskie, wszystkie mahometańskie haremy otworzą się przed tobą, gdy potrząśniesz ojcom i rzezańcom mieszkiem złota przed nosem. Melodia złota jest najwspanialszą melodią, najlepszym sezamem do miłości i rozkoszy życia.

— Pamiętaj, żeś przyrzekł! — powtórzyli trzej inni i na znak przewodniczącego powstali.

— Za trzy dni wydamy przyjęcie dla sfer przemysłowych tutejszego miasta — odezwał się przewodniczący w formie informacji. — Należy bowiem rolę przedstawicieli handlowych odegrać do końca i godnie ją reprezentować, a takie przyjęcia, według form europejskich, są wskazane i nawet konieczne. Jest życzeniem naszym, ażebyś ty wraz z madame Krupińską znalazł się na tym przyjęciu.

— Będę tam, panie.

— Pamiętaj — powtórzyli niby groźne ostrzeżenie pozostali.

— Nadto, trzeba nam będzie jednak jakieś zamówienia poczynić, aby wszelkie pozory były po naszej stronie. Tę sprawę również tobie powierzymy, John.

Borowicz skłonił się w milczeniu.

— Zatem — na dziś koniec. Wszelkie dalsze rozkazy zostaną ci udzielone przez Dario, który winien regularnie raz dziennie o oznaczonym uprzednio czasie zgłaszać się po nie do mnie.

— I to będzie spełnione — skłonił się mister John.

— Bywaj więc zdrów, chłopcze. Pamiętaj, że mamy przed sobą wielkie cele, dobro ogólne i...

Nagle, poprzez na głucho zamknięte okna i zapuszczone rolety, do uszu Hindusów dobiegł jakiś szmer, jakby odgłos upadku czegoś ciężkiego.

— Dario! — krzyknął starszy kapłan. — Dario! Dario!

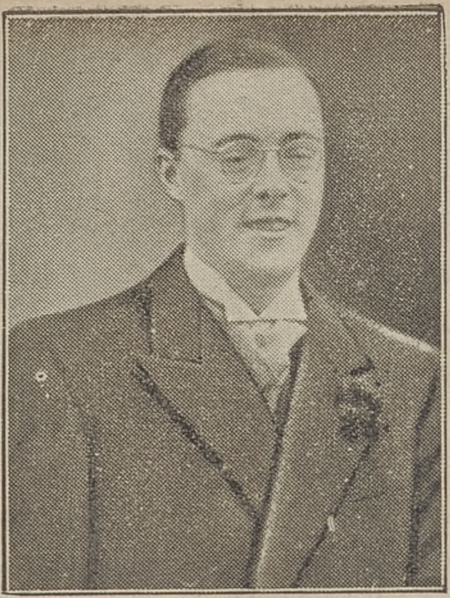
Ale służącego nie było. Zniknął gdzieś.

— Co to było? Co to znaczy? — rzucali pytaniami pozostali kapłani. — Skąd ten hałas?

Na znak przywódcy rzucili się wszyscy ku drzwiom, przebiegli jedną i drugą komnatę i znaleźli się na tarasie, prowadzącym do parku. Gdzieś opodal tętniały kroki biegnących ludzi, jakieś odgłosy dziwne, jakby walki, po czym wszystko ucichło na kilka minut, długich dla Hindusów, jak wieczność. Następnie znowu rozległy się kroki na zapuszczonej ścieżce i Hindusi zobaczyli idącego ku nim człowieka, niosącego jakiś ciężar na barkach. Borowicz poznał swojego służącego Dario i zdziwiony wysunął się naprzód.

— Dario, co to znaczy?

— Nie wiem, panie — odrzekł Hindus. — Złapałem człowieka, który stał pod oknem — drugi zbiegł.



Małżonek holenderskiej następczyni tronu, ks. Bernard zu Lippe-Biesterfeld uległ w poniedziałek rano wypadkowi samochodowemu podczas jazdy z pałacu Soestdijk do Hagi. Samochód przez niego prowadzony wpadł na samochód ciężarowy. Księcia umieszczono bezzwłocznie w szpitalu. Lekarze twierdzą, że nie zachodzi niebezpieczeństwo cięższych komplikacyj.

Dario zrzucił z bark ciężar do nóg Borowicza. Ten spojrzał w blasku księżyca w twarz omdlałego mężczyzny, nie dającego znaku życia.

Był to Barłamp, którego na przełazie przez parkan złapał Dario, podczas gdy Kulka, uciekający przodem z aparatem podsłuchowym w ręku, zdołał umknąć. Wszystkie twarze wyciągnęły się w zdumieniu i niepokoju.

— Zapakować tego człowieka do samochodu i odwieźć go do nas. Już my go tam ukryjemy do czasu i potrafimy wybadać — rozkazał przewodniczący.

— Stanie się według twojej woli, panie — odrzekł na to posłusznie Dario, podnosząc Olesia z ziemi.

XII.

TAJEMNICA KRUPIŃSKIEGO

Borowicz popijał małymi łykami herbatę i wpatrując się w twarze raz matki, raz córki — milczał i myślał o czymś. Przez twarz przebiegały mu chwilami jakieś chmury, może wspomnienia z dawnych czasów, może plany przyszłości.

— Panie, prosimy, zechciej powiedzieć nam co o naszym ojcu — zwróciła się do niego w końcu Lila, siedząca bokiem do tego pół Polaka, pół Hindusa, a w gruncie to Bóg raczy wiedzieć kogo.

— Owszem, powiem, co wiem z ust samego pana Krupińskiego.

Borowicz zapalił wonnego papierosa i zapatrzył się w szklankę z herbatą, czas jakiś znowu myślał, w końcu zaczął snuć swoją opowieść głosem spokojnym, równym, działającym tak bardzo uspokajająco na system nerwowy słuchaczów, jak jakaś bardzo spokojna i uroczysta muzyka.

— Spotkaliśmy się w Indiach — mówił — dawno — dawno już temu i on to nauczył mnie dobrze mówić po polsku. Ojciec mój był Polakiem, przybyłem tam z Ameryki w dawnych latach, matka była rodowitą Hinduską. Zetknąłem się z panem Krupińskim na dworze jednego z maharadżów i od razu przystaliśmy do siebie. Nie wiedziałem jednak, co on tu robi, czym się zajmuje, a ja nie pytałem go o to nigdy. Dopiero pewnego razu, wybrawszy się na łowy, spędziliśmy kilka dni i kilka nocy razem w puszczy i wtedy to, pewnie pod wpływem muzyki dżungli, jej głosów tak dziwnie zazwyczaj działających na przybysza z dalekich stron, zbudziły się w nim wspomnienia, jak rzewna fala, zapragnął zapewne zwierzyć się ze swoich tęsknot i swoich snów, tak długo tajonych, bo zaczął mówić. Przyszło to na niego jakoś dziwnie nagle, bez żadnego wyrachowania.

— „Czy pan wie — mówił mi wtedy — czy pan wie, że ja się tu zaczynam zwolna dusić? Że chwilami brakuje mi zupełnie tchu, chociaż mam tu dokoła przestrzenie tak ogromne. Co to jest? Co to być może? Dziwne jakieś tęsknoty przychodzą na mnie... Wie pan, jestem Polakiem z pochodzenia, z kultury, z wykształcenia, wychowania i z czego w ogóle pan chce. Jestem Polakiem i tylko Polakiem, a i pan, sądząc z nazwiska, jesteś także Słowianinem, ale pewnie nie Rosjaninem?"

— Nie, nie jestem Rosjaninem — odrzekł.

— To dobrze, to bardzo dobrze — on na to. — Nienawidzę Moskali. Wie pan, zostałem porwany z domu, od żony kochanej, od córki, która urodziła się już po moim odjeździe, wtłoczony w nienawistny mi mundur i zapędzony na pola Mandżurii, aby tu walczyć za białego cara. Okropność, co przeżyłem! To było straszne, całe to życie, cały ten marazm, rzeź tysięcy ludzi Bogu ducha winnych. Nie mogłem wytrwać w tym piekle, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa — zbiegłem do Japończyków. Postawiłem wszystko na kartę, całą moją przyszłość, całe szczęście — wszystko i zbiegłem. Później dowiedziałem się, że jestem poszukiwany listami gończymi przez władze carskie, że na moją głowę nałożono cenę, oskarżając mnie o uprawianie propagandy defetystycznej wśród nieszczęśliwych niewolników białego cara. Pan rozumie, co to znaczy: — śmierć. Kula w mózg lub w serce. A poza tym — i rodzina moja, ta rodzina, którą nad wszystko w życiu kochałem i kocham — również była zagrożona, bo była to rodzina wywołańca, wroga caratu. Dlatego chociaż wojna dawno się skończyła — nie piszę nic do żony, nie piszę nic do nikogo ze znajomych. Jestem tu jak w grobie i jak w grobie dogorywam zwolna, rok po roku, rok po roku... Jakoś pcham się przez życie, pcham się z tęsknotą bezmierną, która czasem aż boleśnie, tak bardzo dotkliwie mi doskwiera, a jednak, chociaż pragnę tego, chociaż jest to jedynym moim życzeniem, nie mogę do nich tam napisać, nie mogę... Z Japonii przedostałem się do Indii, otworzyłem tutaj skład materiałów bławatnych, co daje mi przynajmniej skromne utrzymanie i pozwala egzystować. Panie, Indie, to kraj najogromniejszych bogactw, zgromadzonych w jednym ręku, ale zarazem i najokropniejszej nędzy. Można przechodzić miliony razy obok bajkowych wprost bogactw, ale i z głodu prędzej tu można umrzeć, niż gdziekolwiek indziej.

— Tego dnia zmarły tyle mi tylko powiedział — ciągnął Borowicz. — Ja ro-



Italia faszystowska zorganizowała w Rzymie wielką wystawę tekstylną, przedstawiająca całokształt postępów włoskiego przemysłu tekstylnego. W tych dniach wystawę zwiedził król włoski.

zumiałem jego ból i umiałem go uszanować. Nie chciałem go pytać o nic więcej. Ale później zapraszał mnie bardzo często do siebie i tak z czasem zaprzyjaźniliśmy się. Ja byłem w tych okolicach jedynym człowiekiem, który mówił jako - tako po polsku, a to było dla mister Krupińskiego w tym okresie ogromnej tęsknicy za swoimi — wszystkimi, całą jego pociechą, jedyną rozrywką. — Dzięki ojcu memu, kapitanowi armii angielskiej w Indiach, który jednak później został z niej wydalony za to jedynie, że ożenił się z Hinduską, chociaż matka moja pochodziła z wysokiej kasty brahminów — mówiłem słabo po polsku, ale dopiero moje długie i ciekawe rozmowy z mister Krupińskim przyczyniły się do wypolerowania języka.

Borowicz skończył opowiadanie i wciąż trwając w swojej tak ciekawej zadumie, wpatrywał się gdzieś w nieokreśloną dal, jak gdyby myślami błąkał się w dżungli w towarzystwie Krupińskiego ,jak gdyby we wspomnieniach wywoływał wizję dawno minionej przeszłości.

Pani Ewa obserwowała gościa, oka z niego nie spuszczając i nie wiedząc, czy ma wierzyć tej opowieści, zakrawającej na bajkę i fantazję, czy też uznać ją za czczy wymysł człowieka, który przybył nie wiedzieć skąd i nie wiedzieć po co. Lila natomiast ukradkiem tylko spoglądając na twarz Borowicza, zastanawiała się w tej chwili nie nad dziejami ojca, który zginął był gdzieś na szerokim świecie, nie nad całą opowieścią, ale nad tym dziwnym gościem, w którym instynktownie wyczuwała wroga, chociaż nie pokazał on dotychczas jawnie pazurów i nie wystąpił jawnie jako wróg. I myślała także nad tym, co stało się z Jurkiem? Dlaczego nie odzywa się dotąd słowem jednym do niej? Dwukrotnie już pisała do niego — nie odpowiedział, dzwoniła do szefostwa, odpowiedziano jej, że „pan porucznik Stadnicki zachorował nagle". Pytała, gdzie, w którym szpitalu leży, nie dano jej pewnej wiadomości, ale wymijająco poinformowano, że „pana porucznika nie można obecnie odwiedzać z uwagi na jego stan zdrowia."

W pokoju panowała cisza, zamącona tylko tykaniem jednostajnym i monotonnym ogromnego staroświeckiego zegara gdańskiego, który spokojnie odmierzał czas, obojętny na wszystko, cokolwiek tu się działo.

— I cóż dalej ,doktorze? Cóż dalej? — zapytała w pewnej chwili pani Ewa.

Borowicz drgnął, jakby powracał do życia z bardzo daleka i uśmiechnąwszy się blado, obrzucił łagodnym spojrzeniem zarówno matkę jak córkę.

— Nie wiele zostało mi już do opowiedzenia, proszę pań, bardzo nie wiele — odrzekł tym samym tonem, co poprzednio. — Chyba to jedno, że gdy pewnego dnia wezwano mnie do mojego przyjaciela, zastałem go w ogromnej gorączce, prawie śmiertelnej. Mimo bardzo wysokiej temperatury jego ciała, poznał mnie i uśmiechnął się blado.

— Co panu jest, panie Stanisławie? — zapytałem. — Czy bardzo czuje się pan chorym? Może wezwać panu lekarza?

— Nie, nie trzeba, nikogo i niczego już mi nie trzeba — odrzekł. — Czuję, że nadchodzi koniec. Klimat Indii nie na moje siły. Febra mnie zżarła, gorączka spaliła moje tkanki, spaliła krew. Jestem jak bezużyteczna maszyna, którą należy usunąć z zakładu, aby nie przeszkadzała.

— Eh, nie będzie jeszcze tak źle — spróbowałem go pocieszyć — jeszcze pan wyzdrowieje i nie raz jeszcze będziemy polowali razem.

Pokiwał tylko melancholijnie głową, poczem wypił jakiś napój i z trudem usiadł na łóżku.

— Mister John — rzekł mi — ja już muszę odejść, muszę... Moja lampa już się dopala i na to żaden lekarz zaradzić nie może. Ale nim odejdę — o jedno pana bardzo będę prosił... Jak pan wie, mam tam, w dalekiej Polsce, żonę — mam córkę, której nigdy na oczy własne nie widziałem, ale kocham ją nad wszystko w świecie... Gdyby pan mógł... gdyby pan mógł pojechać kiedyś do dalekiej Łodzi — zna pan to miasto choćby tylko z napisów na opakowaniach moich towarów, z tych trzech słów: „Made in Lodz"... Otóż, gdyby pan mógł tam kiedykolwiek pojechać, proszę, odwiedź moją żonę i moją córkę (ona duża już być musi) i powiedz im, że zawsze kochałem je niezmiennie, zawsze... do skonu...

— Po tych słowach mister Stanley zapadł w dziwny sen, z którego nie obudził się już nigdy. Zająłem się zlikwidowaniem interesów po śmierci przyjaciela, pozałatwiałem wszystko, a za resztę pieniędzy, jakie mi pozostały, postawiłem mu pomnik na kalkuckim cmentarzu.

— Oto i wszystko — kończył Borowicz — wszystko, co miałem paniom do powiedzenia. W domu mam fotografię tego pomnika i, o ile panie pozwolą, przy okazji pozwolę ją sobie im przynieść, albo też przyślę przez mojego służącego.

— Bardzo — bardzo będę panu zobowiązana — podziękowała pani Ewa głosem mocno wzruszonym.

— Obietnicę, daną przyjacielowi memu — dodał jeszcze Borowicz — mogłem był nadspodziewanie szybko spełnić, bo oto nadarzyła się sposobność jeszcze w roku 14-tym i wtedy to wszystko już miałem gotowe do podróży, gdy wybuchła wojna światowa. Panie pojmują, nie czas było myśleć wtedy o płonących różach, gdy ginęły w zawierusze wojennej lasy. Później najprzeróżniejsze inne sprawy zatrzymały mnie bądź w Indiach, bądź w Anglii, tak, że dopiero teraz miałem możność wywiązać się z przyrzeczenia danego przyjacielowi na łożu śmierci.

— Jesteśmy bardzo panu zobowiązane za tak szlachetny czyn — odrzekła na to pani Ewa. — Przyjechać z drugiego prawie końca świata po to jedynie, ażeby spełnić prośbę umierającego człowieka, świadczy bardzo pochlebnie o panu.

— Łaskawa pani, nie zasłużyłem na taką pochwałę, gdyż głównym powodem mojego przyjazdu tutaj są sprawy handlowe, tym razem przeto połączyłem przyjemne z pożytecznym, przez co i zasługa moja nie tak wielka, jak panie sądzą.

— W każdym razie jednak ładnie to z pana strony.

— Byłoby prawdziwym szczęściem dla mnie, gdyby ten wypadek zdołał na dłużej związać mnie z paniami, gdybym mógł znaleźć w oczach panny Lili chociaż odrobinę uznania. Mój Boże, cóż ja temu jestem winien, że pokochałem panią, właśnie panią, a nie kogo innego — zwrócił się Borowicz do Lili. — Czyż to zbrodnia? Czyż zabrania się komukolwiek czcić bóstwo?

— Pan wybaczy, ale ja nie jestem bóstwem i cała w tym różnica — odrzekła Lili na ogół spokojnie. — A poza tym, czyż nie powiedziałam już panu, że nie mogę pana pokochać, gdyż kocham innego?

— A przecież ten ukochany przez panią wybrany szczęśliwiec — odszedł.

— Nie wierzę w to, to jest nieszczere, to jest nieprawdopodobne.

— Mimo pisemnego dowodu na to?

— Tak, mimo pisemnego dowodu, który dla mnie tak długo nie będzie dowodem, dokąd pan Stadnicki osobiście nie oświadczy mi, że zrywa, że odchodzi ode mnie.

— Kto wie, czy nie będzie pani kiedyś żałowała tego, że to się stanie, że to stać się musi.

— Musi? Dlaczegoż to?

— Zna pani pewnie daleko lepiej swojego byłego narzeczonego, ode mnie, czy tak? A zatem pani może być pewną, że skoro wyrzekł się pani, to uczynił to z całą świadomością swojego czynu, z tym, że będzie miał odwagę powtórzyć jej osobiście to, co powiedział w lakonicznej kartce.

— Nigdy! Właśnie dlatego, że znam pana Stadnickiego dobrze, jestem przekonana, iż musiał on paść ofiarą czegoś niepojętego, skoro napisał ową kartkę.

Borowicz powstał.

— Madame! Nie są mi znane intencje pana porucznika Stadnickiego i nie pragnę w nie wchodzić, gdyż postanowienie jego do niego i od niego samego zależało. Ale pragnę na jedno tylko zwrócić uwagę łaskawej pani...

— Słucham pana.

— Jestem człowiekiem wychowanym w bardzo twardej szkole życia, człowiekiem, który nie zwykł jest odstępować od raz powziętego postanowienia. Znam swoją siłę i swoją moc i — będzie mi niezmiernie przykro, jeżeli będę zmuszony nie rezygnować z mojego postanowienia, ale przeciwnie — użyć wszelkich dostępnych środków, ażeby dojść do celu.

Głos Borowicza brzmiał mocno i dźwięcznie. Wyczuwało się w nim człowieka silnego, człowieka, który należycie docenia swojej siły.

— Czy to groźba? Nowa groźba?

— Nie, żadna groźba. Raz już zapytała mnie pani o to i wtedy dałem jej odpowiedź ,że tylko ludzie słabi imają się groźby, a ja do takich się nie zaliczam.

— Jednak pan grozi?

— Tylko ostrzegam.

— Ale to ostrzeżenie ma wszelkie cechy groźby.

— Zależy, jak to kto pojmuje.

— Ja właśnie tak to pojęłam.

— Bardzo żałuję, że nie możemy porozumieć się należycie.

— A ja nie żałuję tego bynajmniej. I będę bardzo, ale to bardzo panu zobowiązana, jeżeli raczysz zostawić mnie w spokoju. Jestem bardzo wdzięczna za wiadomości, jakie pan był uprzejmy udzielić nam o naszym ojcu, za to też zawsze będę pana miała we wdzięcznej pamięci, niechże pan nie wymaga ode mnie tego, czego wypełnić nie jestem w stanie.

— Dam pani czas do namysłu.

— Jam już dzisiaj zdecydowana i taką znajdzie mnie pan zawsze, ilekroć zapytasz w tej materii.

— Jest pani upartym, kapryśnym dzieciakiem, który nie zdaje sobie nawet sprawy, z jakim ogniem zaczyna igrać.

— Jestem niemal pewna, że ten ogień mnie nie sparzy.

— On panią może spalić na popiół.

— Nigdy! — zawołała energicznie Lila. — Znajduje się jeszcze ktoś taki, kto mnie przed tym ogniem ochroni i jednego życzyłabym panu tylko, aby sam pan nie spłonął od tego ognia, który pana podobno tak bardzo pali.

— Słowem — rzuca mi pani wyzwanie.

— Nie, ja pragnę tylko spokoju. O ten spokój pana bardzo proszę.



Pod przewodnictwem niewidomego i bezrękiego prezesa włoskich uczestników wojny Delecroix, komba'anci przybyli do Londynu, gdzie zostali m. in. przyjęci przez ang. ministra wojny Leslie Hore-Belisha. Na zdjęciu ang. min. wojny w pełnej temperamentu rozmowie z dowódcą oddziału włoskiego Delecroix który ma na sobie mundur majora bersal'erów.

— Znajdzie go pani w całej pełni, odpowiadając choćby tylko jednym przychylnym słowem na zaofiarowane jej moje pokorne służby.

— Nie i po stokroć nie!

— Niech mnie pani nie zmusza do użycia całej swej mocy dla odmienienia tego postanowienia — proszę o to, jak o łaskę.

— Nic już nie mam panu do powiedzenia. Żegnam.

— A ja mówię tylko — do widzenia.

XIII

POTWORNE WIĘZY

Stadnicki opuścił szpital z jakimś przedziwnym osadem goryczy, jaki pozostał mu gdzieś tam na dnie duszy po ciężkim oskarżeniu, pod jakim pozostawał przez kilkanaście dni. Wychodził ze szpitala uwolnionym od zarzutu zdrady, ale ten zwrot w papierku urzędowym: „z braku dowodów winy" zatruwał mu każdą chwilę jaśniejszej myśli. Z tych też przyczyn postanowił nieodwołalnie wystąpić z wojska, gdyż mógłby już z tą samą, co dawniej, otwartością, z tą samą szczerością, spojrzeć w twarz kolegów.

— Byłem pod zarzutem zdrady — to dość — powtarzał sobie po raz już dziesiąty, chodząc wielkimi krokami po swoim pokoju.

Najbardziej jednak zastanawiało go to, że ani rusz, nie mógł sobie przypomnieć, nie mógł odtworzyć w swoim umyśle przebiegu wypadków od chwili zaśnięcia, czy też omdlenia w mieszkaniu Borowicza, aż do chwili znalezienia się w pociągu.

— Co to było? Co działo się ze mną? — powtarzał sobie nieustannie, daremnie próbując zmusić umysł do odtwoozenia zaszłych wypadków. Daremnie wysilał się do tego stopnia, aż doznał bolesnych kłuć gdzieś tam pod czaszką — nic sobie przypomnieć nie był w możności. A w takich chwilach czuł wyraźnie, prawie namacalnie, że otacza go jakaś jakby atmosfera wrogości, czuł, jak gdyby ktoś niewidzialny, nieuchwytny, kierował jego wolą i jego myślami. Nie raz miewał złudzenia, że w tok jego myśli wpada czyjś głos obcy, groźny, daleki, głos jakiegoś niewidzialnego człowieka, narzucającego mu swoją wo. W takich chwilach rozglądał się uważnie po mieszkaniu, zaglądał do wszystkich zakątków, ale nigdzie nie było żywej duszy. Nawet niedostępny Żymełka siedział gdzieś w kuchni, wyjątkowo spokojnie.

— Coś dzieje się ze mną? Coś dzieje się koło mnie... — powtarzał sobie Stadnicki, jak jeszcze tak niedawno. Zjawiała mu się teraz już nie jako istotna nad wszystko w świecie kochana, już nie jako owo marzenie z lat najmłodszych, ów ideał jeden - jedyny, ale jak ktoś, obcy, daleki, obojętny.

— Coś dzieje się ze mną, coś się ze mną dzieje...

Przecierał oczy dłonią i chodził dalej, nie mogąc zrozumieć co się z nim stało, dlaczego tak zobojętniał dla kobiety, która jeszcze niedawno była mu wszystkim. Ale dnia pewnego niewidzialne więzy jak gdyby nieco rozluźniły się na jego oponach mózgowych, jak gdyby ten ktoś niewidzialny, ten ktoś wrogi i nienawistny stracił na chwilę panowanie nad nim. — Przywołał wtedy Żymełkę, pucującego porucznikowskie mundury w kuchni.

— Rozkaz, panie poruczniku! — zjawił się z butem w ręku ordynans.

— Żymełka, nie miałbyś ty ochoty przejechać się do Łodzi?

— Jeśli pan porucznik rozkaże, jestem gotów pojechać choćby zaraz.

— Słuchajno, Żymełka, lubisz ty mnie choć trochę?

— Jezu Maria, ja? A toć ja za panem porucznikiem w sam ogień piekielny gotów skoczyć, ze smokiem, z samym „ancykrysem" za łby się wziąć.

— Więc słuchaj, mój Żymełka, pojedziesz do Łodzi z listem. Ale pamiętaj, żebyś mi nikomu i nigdzie nie pokazywał tego listu, żebyś nikomu ani słówkiem nie pisnął, z czym jedziesz.

— To się wi, panie poruczniku — jak rozkaz, to rozkaz.

— Wyrządzisz mi przez to dużą przysługę, a wiesz, że ja przysług nigdy nie zapominam, czego nieraz miałeś dowody.

— Panie poruczniku, jak Boga mego... — rozrzewnił się Żymełka. — A czyż to ja żyd jestem, żółtek niechrzczony, czy inny bajtlok, żebym tylko dla nagrody miał panu porucznikowi służyć?

— Wiem, wiem, porządny z ciebie chłopiec, mój Żymełka, ale widzisz, są pewne sprawy, których ja osobiście nie mogę załatwić, a chodzi o tajemnicę, chodzi o to, żeby ci nikt tego listu nie odebrał. W tym tylko wypadku może się mój zamiar udać. Więc słuchaj — znasz pannę Alicję Krupińską w Łodzi?

— Narzeczoną pana porucznika? Adyć byłem tam już dwa razy. Fajna panienka, strasznie fajna panienka.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Niedziela, dnia 12 grudnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła w Janowie 12.03 Poranek symfoniczny z Wilna 13.10 Fragment powieści „Wierzby nad Sekwaną" J. Wiktora 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Schumann i Bizet dzieciom — koncert 16.45 Aniela i życie — powieść mówiona 17.00 podwieczorek przy mikrofonie (z Wilna) 19.05 Słuchowisko p. t. „Górnik to zuch i chwat" 19.35 Słynni wirtuozi — IX audycja 21.15 „Gwiazdka się zbliża" — skecz 21.30 „Zastępstwa urlopowe" — wodewil radiowy 22.00 „Opowieść o Mozarcie" — V audycja.

Poniedziałek, dnia 13 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Od warsztatu do warsztatu: Pierniki toruńskie 15.45 Z pieśnią po kraju 16.15 Orkiestra wojskowa 17.00 „Drapacze nieba" — pogadanka 17.15 Recital śpiewaczy Mariny Karklin 18.10 Audycja gruzińska (z Poznania) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Dyskutujmy: „Jak wychować dziecko na samodzielnego człowieka?" 20.00 Koncert rozrywkowy 22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 14 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Pieśni bez słów (płyty 15.45 „Król bohater, żakiem" — aud. dla dzieci starszych 16.20 „W muzykalnym domu" 17.00 „Radiokronikarz w Helsinkach" — pogadanka 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Sen zimowy zwierząt i roślin" — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki" — VI wieczór 19.30 Polska twórczość chóralna — III audycja 20.00 Utwory Stanisława Niewiadomskiego (ze Lwowa) 21.00 Muzyka lekka i taneczna 22.15 Ludwik van Beethoven: Koncert fortepianowy c-moll.

Środa, dnia 15 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Kaprysy Paganiniego (płyty) 15.45 „Grudzień" — pogadanka 16.15 „W panteonie muzyki" — wizyta w Lipskim Muzeum Instrumentów — reportaż 17.00 „Radio a obrona państwa" — odczyt 17.15 Mniej znane balety — koncert 17.50 „Zniesławienie i obraza" — pogadanka 18.10 Lekkie melodie skrzypcowe (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Jak to Stefan Okoła poszedł do gimnazjum" obrazek z powieści 19.20 Pieśni dziecięce Tadeusza Mayznera — koncert 19.35 „O determinizmie" — (odczyt II-gi) 20.00 Współcześni kompozytorzy operetkowi (płyty) 21.00 Koncert chopinowski 21.40 Wieczór literacki poświęcony pamięci P. Leśmiana w opracowaniu Juliana Tuwima 22.10 „Kalejdoskop" — audycja rozrywkowa.

Czwartek, dnia 16 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Mazowsze w poezji Lenartowicza i w mazurkach Chopina — Poranek dla młodzieży szkół powszechnych 11.40 Śpiewa Marta Eggerth (płyty) 15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży 16.15 Pieśni z towarzyszeniem wiolonczeli — koncert 17.00 Reportaż z Muzeum T-wa Przyjaciół Nauk (z Wilna) 17.15 Muzyka taneczna 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko pt. „Służbista" 19.30 Muzyka w masce 20.00 Wiązanka melodii ludowych szwedzkich „Noce letnie" — Transmisja ze Sztokholmu 20.30 Rozstrzygnięcie Radiowego Konkursu Kuriera Porannego 21.00 Koncert popularny w wyk. Wileńskiej Orkiestry 21.45 Józef Piłsudski o Gabrielu Narutowiczu 22.00 Koncert poświęcony twórczości Karola Szymanowskiego — Transm. z Warsz. Konserwatorium — (Audycja II).

Piątek, dnia 17 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Fragmenty ze suity „Pinie rzymskie" Respighiego (płyty) 15.45 „Nad albumem znaczków pocztowych" — aud. dla dzieci 16.15 Łódzka Orkiestra salonowa 17.00 „Jaworowscy szczerze" — felieton 17.15 Hiszpańskie pieśni historyczne — koncert 18.10 Wieczorne nastroje (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Komedia A. Fredry, wieczór III: „Damy i huzary" 20.00 Koncert europejski z Helsinek 21.15 Mąż pod drzwiami — operetka w 1 akcie Offenbacha 22.20 Recital fortepianowy Pawła Kowalewa.

Sobota, dnia 18 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 15.45 Słuchowisko dla dzieci „Generalna próba szopki" 16.15 Koncert popularny w wyk. T-wa mandolinistów „Kastalia" 17.00 „Mody i uroszczenia pań rzymskich" — felieton 17.15 Koncert solistów 18.15 piosenki w wyk. Grety Keller (płyt) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Wieczór Adolfa Sonnenfelda — koncert 21.15 „Dobij" — skecz 22.00 Muzyka taneczna.

HUMOR

MIŁY SIOSTRZENIEC

— Ciociu, przyniosłem ci tu muszkę, zrób mi z niej słonia!
— Nie mogę tego zrobić, moje dziecko.
— A tatuś mówi, że zawsze to robisz.

PO MIODOWYM MIESIĄCU

— Dlaczego powiedziałeś panu Zajączkowi, że ożeniłeś się ze mną, ponieważ doskonale gotuję? Wiesz przecież, że ze mnie nietęga gospodyni.
— Musiałem przecież coś wymyślić na swoje usprawiedliwienie.

W SĄDZIE

Sędzia do oskarżonego:
— Za co rozbiłeś głowę sąsiadowi?
— Bo nazwał mnie durniem.
— Czy to taka straszna obelga?
— Dla pana sędziego może nie, ale dla mnie tak.

W SZKOLE

— Kowalski, przychodzisz do szkoły bez teczki na książki?
— Jakbyś nazwał żołnierza, który wyrusza na wojnę bez tornistra?
— Generałem, panie profesorze.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimtrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.